

W numerze: ■ Elektrycznym dalej - str. 3
■ Czas myśleć o władzach - str. 3 ■
Skandalu ciąg dalszy - str. 6 ■ Magia rąk
- str. 7 ■ Bautzen znaczy Budziszyn - str. 9
■ Jagiellońska sukcesja - str. 10 ■ Żądam
satysfakcji - str. 11 ■ Dzielni z Gaworzyc
- str. 12 ■ Włamywacze - str. 13



Fot. Janusz Budnicki

Dożynkowe święto zakończyło się tradycyjną zabawą ludową i występami zespołów folklorystycznych, których w tym roku zjechało do Targoszyna kilkanaście.

Dożynkowy korowód - str. 8-9



Patrząc na nasze koszmarnie osiedla mieszkaniowe zastanawiamy się, jak to jest możliwe, aby przez lata całe, mimo zmasowanej krytyki, ciągle „sadzono” nowe koszmarniki architektoniczne.

Mieszkaniowa babystomymacha - str. 4-5



Fot. Janusz Budnicki

Mecz Zagłębia Lubin z Gornikiem Wałbrzych spodobał się dziesięcioletniej widowni. Przez 90 minut obserwowaliśmy szybką i zaciętą walkę.

To już coś - str. 12

Spojrzenia Roberta Szecowki



Elektrycznym dalej

Przywykliśmy już do tego, że w Legnickiem co roku elektryfikuje się kilkadziesiąt kilometrów linii kolejowej. W roku 1985 zakończono montaż trakei elektrycznej z Wrocławia do Legnicy. Przed kilkoma miesiącami elektrycznym można już było pojechać do Węglinca. Teraz mamy trakeję z Piekar do Głogowa. Nowo zelektryfikowany, oddany do użytku 10 września br. odcinek linii kolejowej o długości 43 km usytuowany jest w ciągu jednotorowym. Stanowi on przedłużenie linii Katowice—Kamieniec Zabkowski—Jaworzyna Śląska—Legnica. W związku z budową nowej stacji kolejowej na legnickich Piekarach możliwe będzie wydłużenie trasy większości pociągów jeżdżących na linii Głogów—Legnica. Docelowo przewiduje się, że pociągi kursować będą aż do Nowej Wsi Legnickiej.

Jakie korzyści uzyskano po oddaniu do użytku nowego odcinka trakei elektrycznej? Przede wszystkim o około 50 mln zł w skali roku zmniejsza się koszty eksploatacji tej linii. Poprawia się też warunki podróżowania. Niebagatelną sprawą jest także to, iż zwiększyć będzie można ładowność pociągów towarowych. Rocznie zaoszczędzi się około 4 tys. ton paliw płynnych.

Elektryfikując linię kolejową z Legnicy do Rudnej-Gwizdanowa nie zapomniano też o przebudowaniu układów torów na poszczególnych stacjach, wydłużeniu peronów i modernizacji obiektów służących pasażerom. Takie prace wykonano w Raszówce, Kozłicach, Rzeszotarach, Gorzelinie, Chrośniku i Rynaricach. Od podstaw zbudowano stację na osiedlu Piekary.

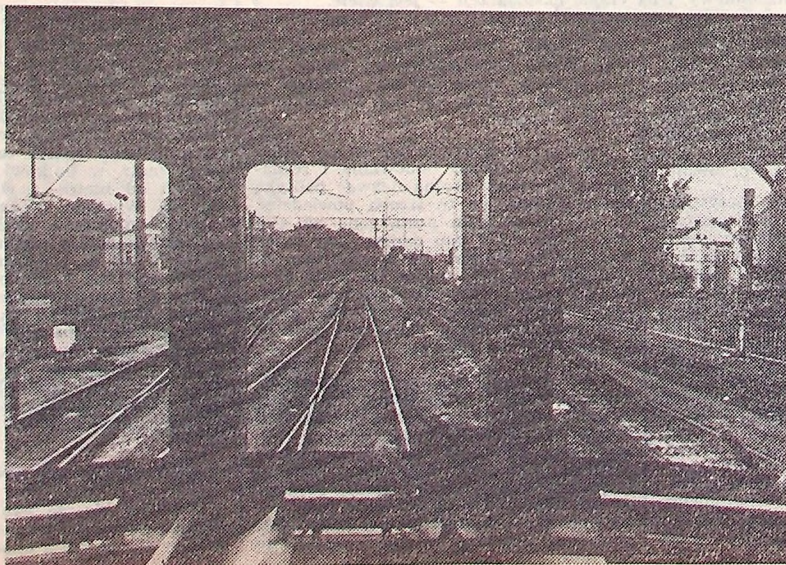


Ogólny koszt wszystkich robót z tym związanych orzekroczony kwotę 826 mln zł. Roboty budowlano-montażowe wykonały: Zakłady Budownictwa Kolejowego z Wrocławia, Zakłady Kolejowych Robót Elektryfikacyjnych z Warszawy, Lubuskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego Kolejowego, Zakłady Automatyki z Wrocławia i kilka innych firm.

Docelowo przewiduje się, iż na trasie z Głogowa do Legnicy kursować będzie 9 par pociągów dalekobieżnych i miej-

scowych. Do dotychczas kursujących 5 par pociągów już od października br. dołączy 6 par, przy czym dwa jeżdżące będą tylko z Legnicy do Rudnej Władzawy, ale można by zwiększyć liczbę pociągów na tej trasie. W miarę jak Rejon Przewozów Kolejowych w Legnicy otrzymał będzie nowe wagony i elektrowozy, możliwe będzie zwiększenie częstotliwości kursowania pociągów na tej linii.

AS



Zdjęcia:

WINCENTY KOŁODZIEJSKI

W połowie września zaczynają się konferencje wojewódzkie, w miesiąc później miejskie i gminne, zakładowe jeszcze później, zebrania wyborcze w organizacjach partyjnych kończyć będą rok... Ale przecież myśleć, zastanawiać się, wymieniać poglądy już pora.

Może nie powinno to dotyczyć nazwisk (choć i to nie zawsze byłoby od rzeczy), ile pewnych zasad, pewnej filozofii wyłaniania władz. Jest to ważne, gdyż X Zjazd wydłużył w dwójnasób kadencję, a więc wybierać będziemy władze partyjne na długich pięć lat.

Nie chcę tu przypominać, że swoiste „prawybory” mamy już za sobą — wybrani są nie tylko wyborcy-delegaci (wszyscy będziemy wyborcami jedynie we

Czas myśleć o władzach

własnych POP), ale również kandydaci do władz, gdyż nimi również mogą być w zasadzie tylko delegaci. Te statutowe ograniczenia pozostawiają jednak bardzo szerokie możliwości kształtowania składu władz na kolejnych szczeblach partyjnej struktury organizacyjnej.

Niektórzy twierdzą, że wszelkie tego rodzaju rozważania stanowią zamach na demokrację i jako takie są naganne. Jest to założenie, które jak gdyby w podtekście stawia znak równości między demokracją a... bezmyślnością. Taką równoważność potwierdza oddawanie nierządki wcale wśród głoszących obyczaj oddawania swych punktów na te nazwiska, o których... nie się nie wie lub, co się do tego samego sprowadza, skreślanie nazwisk osób w środowisku znanych, wyróżniających się („i tak go wybiorą, niech ma parę skreśleń, żeby mu się w głowie nie przewracało”). Takie postawy i działania niewiele wszakże mają wspólnego z demokracją; znacznie więcej — z brakiem dojrzałości i rozsądku.

Naturalne natomiast jest, moim zdaniem, dążenie do tego, by we władzach znalazł się nasz delegat czy nasi delegaci. Naturalnie, jeśli utrzymane w pewnych granicach. Nasze władze wojewódzkie czy miejskie nie są „nasze” w znaczeniu naszego zakładu czy środowiska zawodowego, naszej wsi czy dzielnicy. One są nasze wspólne — całego województwa, miasta, gminy. Byłoby przecież bez sensu, gdyby np. nauczyciele wyparli towarzyszy ze służby zdrowia, gdyby np. dwa sołectwa opanowały partyjne władze gminne lub wątpliwy moralnie „sojusz” dwóch miast wyeliminował trzecie.

Przeszłość pozostawiła nam w trwale zapamiętanym spadku zupełnie usprawiedliwioną niechęć do tzw. kluczy. Z góry bywało wiadomo, ile ma być w składzie instancji kobiet, młodzieży, rolników, zbawidowców, kolejarzy itp. Oczywiście taki „klucz” jest w istocie kluczem do ubezwłasnowolnienia partii, nie mówiąc już o tym, że czasem sięgnąć trzeba było „za włosy” kandydata byle jakiego, żeby tylko sprostać „zapotrzebowaniu”. Nie znaczy to jednak, by sami delegaci mieli się nie troszczyć o społeczny, wiekowy, zawodowy skład wybieranej instancji, gdyż od niego w dużym stopniu zależy w praktyce jej reprezentatywność i skuteczność działania.

Nikt nie ma podstaw ani prawa podawać w wątpliwość walorów politycznych, obywatelskich czy moralnych jakiegokolwiek z wybranych delegatów partyjnych. Chodzi jednak o to, by spośród dobrych wybrać możliwie najlepszych, by głosowaniem na kandydatów — robotników dać świadectwo klasowego charakteru partii, wyborem ludzi młodych tworzyć partii przyszłość, opowiedzeniem się w głosowaniu za towarzysza-ami, rzetelnymi w pracy, odważnymi, bezstronnymi ludźmi dokumentować cechy, jakie partia preferuje.

(h.p.)

Mieszkaniowa babystomymacha

Janusz Dobrzański

Amerykanie twierdzą, że nie wolno wierzyć statystykom. No bo jeśli na stu facetów przypada statystycznie po pół jabłka, to wcale nie musi znaczyć, że tak jest w istocie. Połowa może mieć po całym jabłku, a połowa — nie. Ten bardzo praktyczny pogląd nie przeszkodził im jednak w stworzeniu jednego z najdoskonalszych systemów statystycznych na świecie. Bo epistoły tworzone przez statystyków nie służą do wierzenia, lecz do analizowania i wyciągania wniosków. Na tym tle nasz stosunek do statystyk jest, najdelikatniej mówiąc, dziwny. Manifestując sceptycyzm widzimy w nich to, co chcemy widzieć, nie zaś to, co z nich wynika lub jest godne zastanowienia. I nie jest to stwierdzenie głośne.

Od kilku lat mówi się w województwie legnickim o palącym problemie mieszkaniowym. Utało się zresztą mówić o nim w oficjalnych wystąpieniach per „problem polityczny”, co ma rangę zdecydowanie wyższą od problemu socjalnego czy społecznego. Mówiąc wprost, jest to najcięższy kaliber. Ale czy nie za ciężki?

Spółdzielczość mieszkaniowa w Legnickim, wykazała się własnymi statystykami, iż na koniec 1985 roku liczba pełnoletnich członków spółdzielni, ze zgromadzonym pełnym wkładem na konkretne M-ileś, a więc oczekujących na własne mieszkania, wyniosła 21 tysięcy. Można powiedzieć, że od roku 1983 liczba ta w zasadzie nie uległa żadnym zmianom. Jak przypuszczam, właśnie w oparciu o nią przystąpiono do konstruowania wojewódzkiego planu budownictwa mieszkaniowego, znanego powszechnie pod nazwą „pięć plus jeden”. Plan zakłada budowanie 5 tysięcy mieszkań w systemie wielorodzinnym i jednego tysiąca domków jednorodzinnych rocznie. Nie zagłębiając się w szczegóły tego planu można powiedzieć, że spółdzielczość ma w latach 1986—1990 przekazać lokatorom około 18 tys. mieszkań. Jak widać, w roku 1991 pozostanie do załatwienia niewielki „ogonek”, zakładając rzecz jasna, że główny ogon po spółdzielczości M nie będzie się wydłużał.

W ubiegłym roku oddano do użytku 4104 mieszkania. W pierwszym półroczu br. 464 i, jak poinformował WUS w oficjalnym komunikacie, zaawansowanie rocznego planu WRN w zakresie mieszkań (w gospodarce społecznej) w budynkach mieszkalnych wynosi ogółem 11,8 proc. W analogicznym okresie ubiegłego roku było znacznie lepiej. Zaawansowanie wyniosło 26,8 proc. (oddano do użytku 893 mieszkania).

Ale jest kwestia daleko bardziej interesująca, zawierająca się w pytaniu: czy jest to problem realistyczny? Chodzi o to, czy rzeczywiście potrzeba aż tylu mieszkań? Odpowiedź jest zaskakująca, a może nawet szokująca. Otóż, jak wynika ze statystyk, w roku 1985 należało zatrzymać budownictwo mieszkaniowe, ponieważ już w roku 1984

KAŻDA RODZINA MIAŁA MIESZKANIE!

Nie wierzyć? No to posłuchajcie. We wrześniu 1985 roku, nakładem Głównego Urzędu Statystycznego, ukazał się „Spis ludności i mieszkań” ujawniający stan na 6 grudnia 1984 roku. Wynika z niego, że w województwie legnickim było 473 747 ludności i 474 094 izby, a na 129 878 mieszkań przypadały 132 734 rodziny. Czyli, z grubsza licząc, każda statystyczna rodzina miała własne mieszkanie. W miastach na 89 970 mieszkań przypadało 88 630 rodzin (a więc każda rodzina miała odrobinę więcej niż jedno mieszkanie) a na 303 750 izb przypadało 313 190 ludności. Natomiast na wsi 44 104 rodziny miały do dyspozycji 39 908 mieszkań (ciut za mało), natomiast 160 556 ludności mieszkało w 166 344 izbach (!)

Ogółem w województwie liczba izb w przeciętnym mieszkaniu wynosiła 3,65, a liczba lokatorów 3,62, co oznacza, że każda osoba miała do dyspozycji 1,01 izby mieszkalnej. Powierzchnia użytkowa mieszkania wynosiła 59,1 m kw., co znaczy, że jedna osoba władała własną izbą o powierzchni 16,2 m kw.

Pytanie, w co wierzyć? Czy w kolejkę po własne M licząc 21 tysięcy osób, czy też w to, że w Legnickim każda rodzina już dawno ma własne mieszkanie — i to duże. Rozwikłanie tej zagadki jest przedsięwzięciem, które mogłoby przerosnąć siły nawet złożonej komisji

ekspertów, nie wszystko bowiem można wyjaśnić dokładnie i do końca. Wiele kwestii — z braku danych źródłowych — można rozpatrywać wyłącznie w sferze domysłów. Proponuję, abyśmy się wspólnie zabawili w taką komisję i spróbowali — mimo wszystko — dojść do jakichś logicznych wniosków, może nawet uogólniających.

Po pierwsze można uznać za pewnik, iż statystycznego faktu o jednej izbie na „głowę” mieszkańca nie można traktować

pierwszy pewny fakt: 7334 młode małżeństwa nie posiadają samodzielnych mieszkań. I to jest chyba zasadniczy problem: ludzie oczekujący na swoje pierwsze mieszkanie. Cała reszta — pełnoletni członkowie z pełnym wkładem mieszkaniowym — to w swojej łwiej części ludzie młodzi, którzy albo się jeszcze uczą, albo już pracują, ale którzy o własnym mieszkaniu zaczęli myśleć za pięć-siedem lat, jak dobrze pójdzie. Mniejsza część tej reszty to ludzie czekający na swoje drugie, ale większe mieszkanie. Oni czekają na zamianę.

Statystyczny fakt, iż każda rodzina ma własne mieszkanie trzeba więc interpretować tak: każda rodzina ma gdzie mieszkać, ale nie każda ma takie mieszkanie, jakie jest jej potrzebne i na zasadach, które by jej odpowiadały. Albo mówiąc brutalnie: jednym żyje się lepiej kosztem drugich, co może znaczyć, że faktycznie mieszkań jest dość, aby zapewnić wszystkim dobre warunki, ale winna jest polityka mieszkaniowa, skoro

poszły na swoje. Ale w tym kierunku kolejka nie stoi. W 1983 roku spółdzielnie mieszkaniowe w całym województwie dokonały 637 zamian mieszkań. Jest to prawie tyle, ile buduje w ciągu roku Lubuskie Przedsiębiorstwo Budowlane. W tych 637 przypadkach 447 dotyczyły przydziału lokali o większej powierzchni, a tylko w 190 doszło do tzw. wzajemnej zamiany i można mówić o zamianie lokalu za duży na „w sam raz”, czyli o pozbywaniu się nadmetraży. Ale to też nie jest pewne, bo ludzie zamieniają się mieszkańcami z różnych powodów, a tych się nie specyfikuje i nie prowadzi żadnej analizy statystycznej. Wiadomo tylko, że u nas wykształcił się model pod hasłem „mieszkanie na całe życie”. Ludzie nie chcą pozbywać się za dużych mieszkań, chociaż nie są im potrzebne. Ale nie jest to kwestia mody czy obyczaju. Przecież np. w RFN, gdzie w ciągu życia statystyczny obywatel zmienia mieszkanie przynajmniej kilka razy, nie jest to kwestią obyczaju, lecz bierze się z przesłanek socjoekonomicznych, chociaż prawdopodobnie nie tylko. U nas

ZAMIANA MIESZKANIA NA MNIEJSZE JEST ZABIEGIEM NIEOPŁACALNYM

Nieopłacalnym w każdym calu. Pomijam tu gehennę proceduralną. Spójrzmy na ekonomikę. Przecież głównie względy ekonomiczne winny zachęcać ludzi do pozbywania się zbyt dużych mieszkań (obowiązuje norma to jeden człowiek — jedna izba). Wiadomo że czynsz płaci się od metra kwadratowego więc im mniej metrów tym mniejsza opłata. Ale ten przewód myślowy trzyma się kupy tylko w teorii. W rzeczywistości jest odwrotnie: ktoś, kto 15 lat temu dostał M-4, a dzisiaj chciałby je zamienić na M-2, musiałby miesięcznie płacić za to mniejsze mieszkanie znacznie więcej niż za poprzednie, licząc łącznie czynsz i opłatę za nadmetraż. Trzeba więc być idiotą, godząc się na taką rozsadę.

Bez sensu ten bierze swe źródło w przepisach prawa lokalowego, zasadach finansowania budownictwa, które nie uwzględniają zmieniających się realiów gospodarczych. O szczegółach znów można by gawędzić godzinami, proponuję więc skupić się na kwestiach fundamentalnych. Otóż czynsz składa się z dwóch elementów: opłaty eksploatacyjnej (ciepło, woda, wywóz śmieci itp.) oraz spłaty kredytu, zaciągniętego przez spółdzielnię na budowę mieszkania. Opłaty eksploatacyjne są mniej więcej jednakowe, możemy więc tym członem rachunku już się nie zajmować. Spójrzmy na człon drugi. Jeżeli przed 15 laty spłata kredytu wahała się w granicach 3 do 5 złotych od metra kwadratowego, to dzisiaj sięga już 40 złotych. I w miarę upływu czasu (w miarę wzrostu kosztów budownictwa) będzie coraz wyższa. Cały ten system opiera się więc o staropolskie przysłowie: zamienił strzyk siekierkę na kijek.

System przymusu ekonomicznego też jest iluzoryczny. W budownictwie komunalnym obowiązek płacenia za nadmetraż jest obligatoryjny. Ale „komunalka” to margines. W spółdzielczości wszystko zależy od spółdzielców. W Legnickim tylko w czterech spółdzielniach mieszkaniowych („Przylesie” w Lubinie, w Jaworze, Polkowicach i Ścinawie) uchwałami walnych zgromadzeń lub zebrań delegatów wprowadzono dodatkowe opłaty za nadmetraż. W Ścinawie i Jaworze jest to dubeltowa opłata za każdy nadliczbowy metr, w Polkowicach płaci się 30 złotych od metra, a w „Przylesiu” 100 złotych. Wygląda to nawet groźnie, ale tylko do momentu, kiedy się nie wie, że dodatkowa opłata obejmuje najmniejszy pokój. A ma on zazwyczaj kilka metrów kwadratowych. Rachunek jest prosty: w każdym przypadku lepiej płacić za nadmetraż. Reasumując, nikt nie jest ekonomicznie zainteresowany — w obecnych obowiązujących warunkach — zamianą mieszkań większych na mniejsze — ani lokatorzy, ani spółdzielnie jako instytucje. A kto mi powie, ile jest nadmetraży? I pytanie drugie:

KTO CZUJE SIĘ SPÓŁDZIELCĄ?

Obawiam się, że nawet prezesi spółdzielni mieszkaniowych długo zastanawialiby się, co mają odpowiedzieć. Praw-



Bloków, które pochłaniają gigantyczne ilości materiałów budowlanych i są niebotycznie drogie — i na etapie budowy, i na etapie eksploatacji — jest wiele.

tak, jak w podanym we wstępie przykładzie. Czyli że połowa z 480 tysięcy mieszkańców Legnickiego ma po dwa pokoje, a druga nie ma nic. Nikt nie mieszka pod mostem, na dworcu czy na ulicy, każdy ma jakieś mieszkanie. Pytanie, jakie jest to mieszkanie? — jest kamieniem węgielnym całego problemu.

Oficjalna sprawozdawczość, statystyka wewnętrzna i zewnętrzna, prowadzona przez głównych gestorów dóbr mieszkaniowych jest uboga i ma wiele luk. Ale i z niej można się dowiedzieć interesujących rzeczy. Z rocznego sprawozdania o członkach i kandydatach według stanu z dnia 31 grudnia 1985, wysłanego przez Wojewódzki Związek Spółdzielczości Mieszkaniowej do Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Legnicy, można się dowiedzieć, że: liczba członków ogółem wynosi 58 104, liczba członków zamieszkałych w zasobach spółdzielni — 45 143, natomiast na mieszkania czeka 12 961. W sprawozdaniu mówi się, że 9644 członków nie posiada samodzielnego mieszkania, w tym 4911 młodych małżeństw. Jeśli do tej ostatniej liczby dolożymy 2423 kandydatów, to będziemy mieć

jest inaczej. Bo przecież mieszkania, izby, metry kwadratowe nie wzięły się z powietrza, tylko zostały policzone — w naturze. A więc są. Ale i nie ma. O co więc chodzi?

Jeśli przyjmiemy, że to, co się u nas dzieje w dziedzinie budowania i rozdawania mieszkań, można nazwać polityką mieszkaniową, no to trzeba powiedzieć, że jest to polityka postawiona na głowie. Można by o tym napisać całe tomy, lecz jest to zadanie dla specjalistów. Ja chciałbym zwrócić uwagę na kilka charakterystycznych, by nie powiedzieć spektakularnych faktów czy zjawisk, które dostrzega przeciętny zjadacz chleba, a może raczej mieszkaniec.

Otóż, na przykład spory kawał spółdzielczej kolejki po mieszkania stanowią ludzie „stojący” po jedno lub dwa M więcej. Najdłuższy ogonek jest po M-4, czyli trzy pokoje z kuchnią. I jest to zupełnie naturalne. Zupełnie naturalny i logiczny wydaje się też proces odwrotny, że ktoś, komu 20 lat temu było potrzebne M-4, bo miał trójkę dzieci, dziś potrzebne jest M-3, bo dzieci już dawno

W sprawie rent i emerytur

W ubiegły poniedziałek dyżurował w naszej redakcji Ryszard Zak, zastępca dyrektora oddziału ZUS w Złotoryi. Czytelnicy pytali głównie o to, czy obejmuje ich obecna rewaloryzacja rent i emerytur, informowali się o wysokości dodatku pielęgnacyjnego, który wynosi 2100 zł i przysługuje wyłącznie inwalidom pierwszej grupy. Niektórzy pytali, dlaczego już na początku września nie dostali podwyższonych świadczeń, skoro im się należy.

Wyjaśniamy więc ponownie, że osoby otrzymujące renty i emerytury 5 i 10 każdego miesiąca, otrzymają podwyższone świadczenia, wraz z wyrównaniem za wrzesień, w październiku.

Większość zgłaszanych spraw została wyjaśniona na miejscu.

(mk)

piszą do nas

„O kartę zaopatrzenia”

Przedsiębiorstwo Konserwacji Urządzeń Wodnych i Melioracyjnych w Miłkovicach uprzejmie zawiadamia, że ob. Marian Bartosik w kwietniu 1986 r. pobrał osobiście wkładkę zaopatrzenia, na której podstawie otrzymywał karty zaopatrzeniowe do czerwca włącznie. W miesiącu tym rozwiązano stosunek pracy z ob. Marianem Bartosikiem ze względu na uzyskanie przez niego renty inwalidzkiej. Jednocześnie uzgodniono z zainteresowanym, że w lipcu może pobrać kartę zaopatrzenia w miejscu zamieszkania, co pozwoli mu uniknąć pokonywania około 50-kilometrowej odległości dla pobrania karty zaopatrzenia w przedsiębiorstwie. Poinformowano go również, że w tej sprawie należy zgłosić się do Urzędu Miasta i Gminy w Przemkowie, tj. w miejscu zamieszkania ob. Mariana Bartosika.

W sprawie naliczenia nagrody jubileuszowej za 30 lat pracy informujemy, iż w okresie zatrudnienia ob. Mariana Bartosika w tut. przedsiębiorstwie brak było podstaw do naliczenia tej nagrody z uwagi na niedostarczenie przez zainteresowanego wymaganych świadectw pracy z poprzednich zakładów. Zgodnie zaś z paragrafem 8 ust. 3 uchwały nr 138 Rady Ministrów z dnia 22.09. 1978 r. (Monitor Polski nr 35 poz. 132 z 1978 r.) obowiązek udokumentowania okresu zatrudnienia uprawniającego do otrzymania nagrody jubileuszowej spoczywa na pracowniku. Dopiero w maju 1986, w związku ze staraniami o uzyskanie renty, ob. Marian Bartosik dostarczył przedmiotowe świadectwa pracy z przeznaczeniem dla Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i które niezwłocznie zostały przekazane do tej instytucji. Następnie ob. Marian Bartosik wystąpił o wypłacenie mu nagrody jubileuszowej za 30 lat pracy w oparciu o dokumenty, które już przekazano do ZUS. W związku z tym poinformowano zainteresowanego, że może to nastąpić po uzyskaniu wiarygodnych odpisów świadectw pracy, do których dostarczenia ob. Marian Bartosik się zobowiązał i którego to zobowiązania do dnia dzisiejszego nie wypełnił. Aby nie przewlekać sprawy, dokonaliśmy we własnym zakresie odpisów świadectw pracy znajdujących się w ZUS w Głogowie. Z analizy świadectw pracy wynika, że ob. Marian Bartosik posiada właściwie udokumentowany okres zatrudnienia uprawniający do otrzymania nagrody jubileuszowej w wymiarze 20 lat. Nagrodę jubileuszową w wysokości 75 proc. wynagrodzenia naliczono i przekazano pocztą pod adresem zainteresowanego.

Dyrektor

mgr inż. Józef Bubula

Konkrety • 5

dopodobnie większość z nich powiedziała, że nie. Bo właśnie oni wiedzą najlepiej, że nasze spółdzielnie mieszkaniowe są zaprzeczeniem spółdzielczości. U podstaw idei spółdzielczości leży prawda, że we dwóch jest łatwiej niż w pojedynkę. Gdyby jednak do ponad 50-tysięcznej rzeszy członków spółdzielni mieszkaniowych w Legnickim rozesłać ankiety, to bardzo wątpię czy znalazłby się jakiś Kowalski i jakiś Kwiatkowski, którzy by powiedzieli: zrzuciliśmy się, aby tanio i szybko zbudować ładne mieszkanie. Jestem przekonany, że lwia część wypowiedzi brzmiałaby tak: zapisałem się do spółdzielni, aby dostać mieszkanie. I trudno się dziwić. Od lat warunkiem otrzymania w Polsce własnego mieszkania jest zapisanie się do instytucji zwanej spółdzielnią mieszkaniową. Innej drogi praktycznie nie ma. Po roku 1982 człowiek z ulicy, który chce mieć mieszkanie, trafia od razu do siedziby zarządu spółdzielni, gdzie podsuwają mu do wypełnienia jakieś formularze. Wcześniej trafiał do spółdzielni dopiero po kluczu, bo cała procedura, od wypełnienia kwitków do przydziału mieszkania, odbywała się w zatrudniającym go zakładzie pracy.

Spółdzielczość mieszkaniowa nie jest dzieckiem powojennego czterdziestolecia, jak sądzi wielu. W Encyklopedii Powszechnej PWN można wyczytać, że Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, założoną w roku 1922 przez działaczy robotniczych, członków KPP i PPS, w okresie międzywojennym odegrała pionierską rolę w rozwijaniu nowoczesnego budownictwa mieszkaniowego dla ludzi pracy, stwarzając wzory racjonalnej budowy osiedli oraz form ich społecznego administrowania (...). W Polsce Ludowej WSP rozwinęła szeroką działalność i stała się wzorem dla całego ruchu spółdzielczości mieszkaniowej.

No i mamy dwa „wzory” przed- i powojenny. I jeśli wierzyć encyklopedii wydanej w roku 1976, kiedy byliśmy „aziesiątą potęgą” i mieliśmy wszystkich najlepsze na świecie, to wiadomo komu należy zawdzięczać naszą obecną spółdzielczą rzeczywistość, spółdzielczość będącą zaprzeczeniem „racjonalnej budowy osiedli oraz form ich społecznego administrowania”. Należy zawdzięczać Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej! Ale żarty na bok.

Przed wojną spółdzielczość mieszkaniowa polegała na tym, że grupa osób zainteresowana budową taniego i ładnego mieszkania w bloku, spotykała się w knajpie pana Patyczka. Omawiała szczegółowo techniczno-ekonomiczne i wybierała jakiś społeczny zarząd. Owz zarząd w imieniu grupy (zazwyczaj kilkunastolub kilkudziesięcioosobowej, takiej do budowy jednego bloku) zatwalał całą resztę. Podpisywał umowę z ekipą murarzy lub firmą budowlaną, członkowie spółdzielni często także pracowali przy budowie. Każdy zaś doglądał, aby robota była zrobiona szybko i by się nie zmarnowało. Administrowanie gotowym budynkiem wyglądało podobnie. Jeśli trzeba było naprawić dach, to wzywano po prostu pana majstra, który po robocie mówił: należy się tyle a tyle złotych. Dzieleno tę sumę przez iluś tam

członków spółdzielni, zbierano do kapełuszka i to wszystko. Dziś, aby wypłacić złotówkę potrzebny jest prezes i główny księgowy — rzecz jasna na etacie. A poczęcie spółdzielni zaczyna się właśnie od ustanowienia prezesa. Potem dopiero schodzą się członkowie. Po mieszkaniu. I „zakładają” spółdzielnię. Ale ani w pojedynkę, ani w masie nie mają wpływu na nic. Nie decydują ani o lokalizacji swego przyszłego mieszkania, ani o jego wyglądzie, ani wreszcie o kosztach budowy i jego ostatecznej cenie. Ich „udział” ogranicza się wyłącznie do zgromadzenia odpowiedniego wkładu na książeczke mieszkaniowej, który stanowi zaledwie dziesięć procent kosztów budowy mieszkania. Często nie wiedzą, że ich mieszkanie jest w stu procentach finansowane z kredytu bankowego. Połowę kredytu w momencie zamknięcia „tytułu” inwestycyjnego spłaca w postaci dotacji budżetowych państwo, dziesięć procent to udział lokatora w żywej gotówce, reszta rozłożona jest na raty. W wielu przypadkach lokator spółdzielczego M dowiadyuje się o istnieniu „czegoś takiego” dopiero wówczas, kiedy idzie się wykłócać ze „spółdzielnią” o zapowiadzaną podwyżkę opłat czynszowych.

Ale nie można mu się dziwić. On jest zazwyczaj członkiem spółdzielni-molocho, spółdzielni tylko z nazwy, która w istocie jest dystrybutorem mieszkań budowanych i rozdawanych przez państwo.

Zapytałem człowieka, doskonale obeznanego z historią i teraźniejszością spółdzielczości mieszkaniowej, czy musza istnieć spółdzielnie-molocho, liczące po kilka lub kilkanaście tysięcy członków? Co stoi na przeszkodzie, co nie pozwala wrócić do doskonałych przedwojennych wzorców (ciągle zresztą aktualnych w bardzo wielu krajach świata) małych spółdzielni mieszkaniowych. Powiedział mi tak: Przeszkodą główną jest zbiurokratyzowany system zarządzania. Taka kilkunastoosobowa spółdzielnia chce normalnie egzystować w realnie istniejącej rzeczywistości, musiałaby sobie zafundować prezesa i głównego księgowego na etacie. Inaczej nie ruszyłaby nawet z miejsca. O całej reszcie nawet nie wspomnę. Zakładając teoretycznie, że udało by się jej pokonać bariery biurokratyzacji i zaopatrzeniowości, to chciałbym widzieć firmę budowlaną, która podjęłaby się wykonania „nietypowego” bloku mieszkalnego.

Wniosek z tego, że trzeba zmienić system spółdzielczego budownictwa (bo inaczej nie się nie zmieni), a może nawet politykę mieszkaniową państwa.

Patrzac na

NASZE KOSZMARNE OSIEDLA MIESZKANIOWE

zastanawiamy się, jak to jest możliwe, aby przez lata całe, mimo zmasowanej krytyki, ciągle „sadzono” nowe koszmarnie architektoniczne, które tworzą nowe koszmarnie urbanistyczne. W jeden z „mrówkowców” przy ul. Gwiazdnej w Legnicy można by zmieścić całą ludność miasteczka Prochowice! A takich bloków jest w Legnicy wiele. I takich i podobnych, które pochłaniają gigantyczne

ilości materiałów budowlanych i są niebotycznie drogie — i na etapie budowy, i na etapie eksploatacji. Czy nie ma tańszych technologii, ładniejszych projektów architektonicznych i urbanistycznych? Przecież na świecie buduje się ładnie i tanio. Czy nasi architekci, projektanci to zgraja durniów?

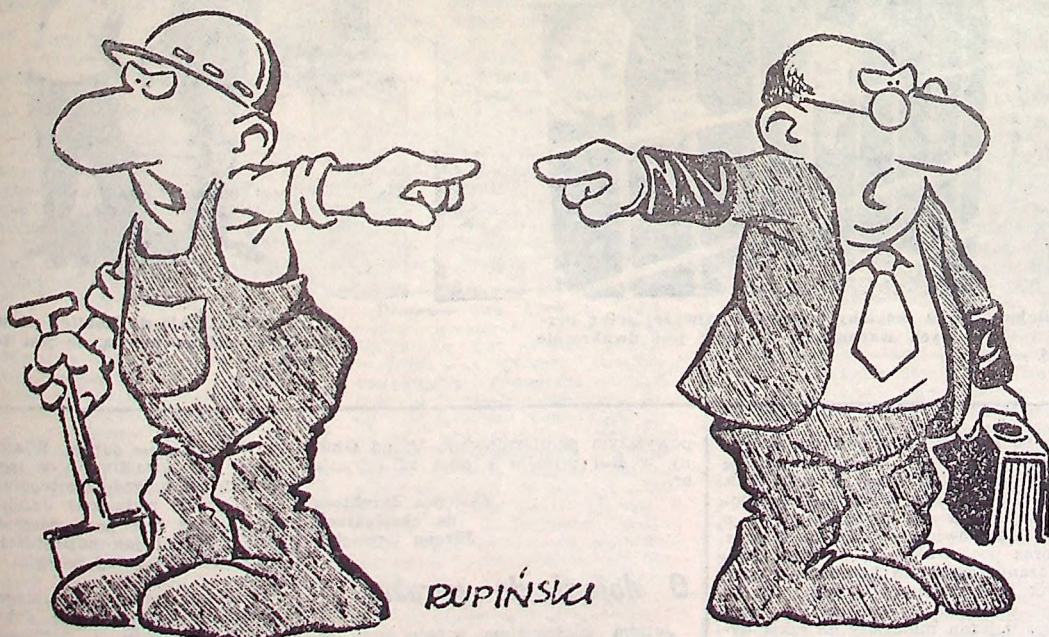
28 sierpnia w głównym dzienniku TV pokazano mikroreportaż z polonijno-zagranicznej firmy materiałów budowlanych. Otóż firma ta opracowała dla budownictwa bardzo nowoczesny i uniwersalny strop, który można zastosować wszędzie — od budownictwa przemysłowego, poprzez wielorodzinne aż do jednorodzinne. Strop ten cechuje się tym, iż — w porównaniu ze stropami tradycyjnymi — oszczędza się przy jego wykonaniu około 70 procent stali i cementu. Szef firmy zalił się, że urządzenie produkcyjne są wykorzystywane zaledwie w dwudziestu procentach, bo na tyle wystarcza przydział materiałów przyznany przez właściwe ministerstwo.

A ja się ministerstwu nie dziwię. Nibyskąd ma wziąć cement i stal, skoro całego tych materiałów muszą spływać nieustannie do fabryk domów — to nie że materiałozernych ponad miarę, ale które muszą przecież funkcjonować, co i tak nie przychodzi im łatwo, bo materiałów wciąż brakuje. Jeśli firma polonijna zwinie interes, to nikt o to do ministerstwa mieć pretensji nie będzie...

I tu znajdujemy częściową odpowiedź na dręczące nas pytania. A także na pytanie kolejne: dlaczego nie rozwija się drobny przemysł materiałów budowlanych? Nie rozwija się właśnie dlatego, że nie ma z czego produkować. I nie ma nadziei mieć.

Ale idźmy dalej. Spółdzielczość mieszkaniowa ma własne biura projektów, własnych architektów, urbanistów — bardzo zdolnych. Zaprojektowali oni dla Złotoryi i Głogowa dwa osiedla mieszkaniowe złożone z przeszliczonych domów. Oba projekty zdobyły parę lat temu poważne nagrody na ogólnopolskim konkursie architektonicznym. Ktoś, kto przypadkiem widział te projekty i chciałby wzięć urbanistę i architekta obejrzyć w naturze, mógłby ich szukać do sądnego dnia, chociaż stoją. Są to inne osiedla i zupełnie inne domy. Wizja projektantów i marzenie inwestorów rozbiło się o dyktat producenta. Budowlani powiedzieli: Jeśli to nie będą klocki, normalne, typowe, bez żadnych „cudów” — to my się tej roboty nie podejmujemy. Zresztą nie powiedzieli nic nowego. I zrobili także po staremu: i w miejscu „szklanych domów” stoją betonowe bunkry. I tak marzenia rozchodzą się z rzeczywistością. Mieszkaniowa babystomymacha trwa.

Co to jest babystomymacha? Termin ten nie figuruje w żadnym słowniku wyrazów obcych. Zapożyczyłem go sobie z książki Romana Bratnego, bo wydał mi się bardzo odpowiedni. Robić coś na babystomymachę oznacza robić coś bez głowy, wbrew logice, na „żywiol”, ale z głęboką wiarą w sercu, że jakoś to będzie. No i jakoś jest.





Budynek szkoły w Rokitkach przypomina małomiasteczkowy przedwojenny urząd.

Zdjęcia Janusz Budnicki

Skandalu ciąg dalszy

Jacek Broszkiewicz

Dokładnie dwa lata temu (9 września) odwiedziłem szkołę podstawową w Rokitkach z ciekawym wcześniejszą informacją, że dzieci uczą się w... chlewiki. Istotnie, wizja na miejscu w pełni ją potwierdziła.

Budynek szkoły w Rokitkach przypomina małomiasteczkowy przedwojenny urząd. Są w nim trzy pomieszczenia, które z biedą można by uznać za spełniające wymagania klasopracowni. Najważniejsze to to, że zimą jest tam ciepło. Kilka innych „klas” zostało zaadaptowanych z różnego rodzaju pomieszczeń, najczęściej o pierwotnie gospodarczym przeznaczeniu. Mieści się tam po kilkunastu uczniów. W szkole, tak jak przed dwoma laty, pobiera naukę 172 uczniów na 2 zmiany. Dzieci z „zerówki” mają locum w przedszkolu w nowych blokach mieszkalnych. W przyszłym roku do szkoły w Rokitkach trafi 36 maluchów i wtedy dopiero, jak mówi obecny jej dyrektor mgr Stefania Majewska, będzie tragedia...

Będzie, bo w Rokitkach nic się nie zmieniło. Dzieci nadal uczą się w chlewiki i w stodołce. Chlewik, a może raczej obórka, mieści się w przybudówce. „Klasa” — to pomieszczenie długie na 8 i szerokie na 4 metry. Zimne mury mają wysokość niespełna 2 metrów. Zakratowane dwa okna. Mimo słonecznej pogody pod sufitem palą się jarzeniówki. W stodołce obok jest widniej, ale zimą i tam trzeba siedzieć w płaszczach i kurtkach.

W gminnym programie wyborczym sprzed 2 lat zapisano: „W latach 1984—88 planowane jest rozpoczęcie budowy szkoły w Rokitkach, co pozwoli na zmniejszenie zmianowości i poprawę bazy oświatowej”.

We wsi mieszka już 2 tysiące ludzi. Istniejąca szkoła mogłaby pomieścić najwyższą setkę uczniów i to w złych warunkach. Uczniów jest dwukrotnie więcej...

REAKCJA

Dwa lata temu szkołę w Rokitkach odwiedzili nie tylko przedstawiciele prasy. Byli też dziennikarze z radia i tele-

wizji. Dziś we wsi można usłyszeć opinie, że ówczesnego dyrektora szkoły mgr. Mariana Longosa zwolniono z pracy za zbyt otwarte i ostre wypowiedzi. Obecnie Longos na urlopie zdrowotnym oczekuje emerytury...

Może z tych, a może z innych powodów dyrektor Majewska jest powściągliwa w swych sądach. Wyciągam jednak od niej informację, że sprawa budowy nowej szkoły była omawiana na posiedzeniu Kolegium Dyrektorów Szkół w Inspektoracie Oświaty i Wychowania w Chojnowie. Stwierdzono po prostu: nie ma funduszy. Stefania Majewska nie wie ile kosztowałaby ta inwestycja. Bez zmużenia oka spokojnie mówi, że na koncie Narodowego Czynu Pomocy Szkole od początku ubiegłego roku zgromadzono 10 tysięcy (!) złotych. Sumę tę wypracowała młodzież zbierając

ziemniaki w Państwowym Ośrodku Hodowli Zarodowej. Komitet Rodzicielski zebrał... 40 tysięcy.

Czy to kpiny?

PRZED ZIMĄ

30 ton węgla powinno wystarczyć na ogrzanie głównego budynku. Gminne władze oświatowe obiecują, że szkoła otrzyma trzy piece elektryczne na dogrzanie najzimniejszych pomieszczeń. Ale węgiel trzeba targać z piwnicy na trzecie piętro, pod dach prawie. Sprzątaczką, która robiła to za 400 złotych dodatku miesięcznie, od poniedziałku (15 września) zwolniła się z pracy...

W ubiegłym roku szkolnym lekarze przebadali wszystkich uczniów ze szkoły w Rokitkach. Jak wynika z lektury dzienników lekcyjnych, przeciętnie przy jednej trzeciej nazwisk widnieją adno-

tacje: „konieczna rehabilitacja”, „skrzywienie kręgosłupa”, „zalecane okulary”, „wymaga działań leczniczych”.

W szkole niepokoją się: Co będzie z dziećmi z „zerówki”, które przyjdą przyzwyczajone do ciepłarnianych warunków?

Doświadczenie wskazuje, że właśnie te maluchy są najbardziej podatne na wpływ złych, wręcz fatalnych warunków. Dlatego też najczęściej zapadają na zdrowiu. Chroni się je jak tylko można lokując w najcieplejszych klasach, ale przecież wystarczy, by taki skrab zechciał zrobić siusiu w drewnianych, oczywiście nie ogrzewanych szalech, i przeziębienie gotowe.

POHZ w Rokitkach stara się pomagać szkole, podobnie jak zakład opiekuńczy, czyli żwirownia. Są to zazwyczaj doraźne prace remontowe jednorazowej wartości 20—30 tysięcy. Żwirownia obiecuje, że w przyszłym roku wyśle fundamenty pod nową szkołę.

Stefania Majewska: — Gdybyśmy mieli ze 200—300 tysięcy — można by zacząć budowę. Liczę na pomoc rodziców...

Nawiasem mówiąc, obecnie za te kwoty można z biedą wybudować wiatę na przystanku autobusowym.

REZYGNACJA?

Charakterystyczne jest to, że dziś rozmawiając z nauczycielami nie słyszy się narzekania na władze oświatowe. Najwyżej gorycz: „Jak to jest, że wokoło budują nowe piękne szkoły, na przykład w Chojnowie na 830 uczniów, a my od 17 lat nie możemy się doczekać”.

Skandal w Rokitkach kwitnie nadal. Dziwnie stępiony wzrok i słuch mają władze kuratorskie wtedy, kiedy spoglądają (a zdarza się to rzadko, albo wcale) w stronę Rokitek.

Pelagia Świerszcz przed dwoma laty mówiła: — Nawet wizytacje są przeważnie w maju. U nas jest wtedy bardzo ładnie, zielono, dzieci biegają po boisku, nie widać tłoku. Ci, co przyjeżdżają, mówią wtedy, że mamy tutaj tak „romantycznie”...

Po dwóch latach ta sama nauczycielka prowadzi lekcje w „stodołce” z trzecią klasą młodzi: „Te dzieciaki właściwie nie muszą się bać zimy. Będą się uczyły w głównym budynku, gdzie jest ciepło. Tutaj i do chlewika przyjdzie VII i VIII klasa. Są bardziej wytrzymałe.”

Tego dnia jest piękna, wrześniowa pogoda, po boisku biegają dzieci, nie widać tłoku, skandalicznie jest nadal...



Istniejąca szkoła mogłaby pomieścić najwyższą setkę uczniów i to w złych warunkach. Uczniów jest dwukrotnie więcej.



Ci co przyjeżdżają do Rokitek na wiosnę gdy jest ciepło, zielono mówią, że jest tu „romantycznie”.

piszą do nas

„Czym dostać się do szkoły”

Odpowiadając na notatkę prasową pt. „Czym dostać się do szkoły” zamieszczoną w tygodniku „Konkrety” w dniu 29 sierpnia br., Dyrekcja Oddziału KPKS w Legnicy informuje:

Z powodu braku 33 kierowców autobusowych zawieszono z dniem 1 czerw-

ca br. 65 kursów autobusowych, w tym kurs Mazurów — Legnica przez Ruję z przyjazdem do Legnicy o godz. 7.49. Niemniej jednak znający społeczne zapotrzebowanie na zawieszony kurs w relacji Mazurów — Legnica z godz. 7.05 oraz poczuwając się do obowiązku rozwiązania problemu komunikacyjnego na terenie działalności Urzędu Gminy w Ruj, a zwłaszcza umożliwienia właściwego dojazdu młodzieży do szkół dyrekcja oddziału KPKS kosztem wydłużenia czasu pracy pozostałym kierowcom podjęła w dniu 20 sierpnia br., decyzję o wznowieniu zawieszonego kursu z dniem 1 września 1986 r. O

powyższym poinformowano Urząd Gminy w Ruj pismem z dnia 22 sierpnia br.

Zastępca dyrektora ds. eksploatacji Jürgen Gretscheł

O dojazd do garażu

Jestem właścicielem garażu przy ul. Złotoryjskiej 13 w Legnicy. Nie wiem dlaczego i na czyje polecenie mieszkańcy, mieszkający w budynku przy ul. Złotoryjskiej 13, zamykają na kłódkę bramę wjazdową na posesję, przy któ-

rej znajdują się garaże. Wjazd poza posesję jest uciążliwy i z tego powodu niszcza się pojazdy (szczególnie ogumienie części podwozia). Jeżeli wjazd do garaży ma być poza posesją, należy zrobić dojazd jak najszybciej i oddzielić teren garaży od posesji.

Z opłatą garażu nie zalegam i równocześnie domagam się dobrego dojazdu do garażu i niebrudzenia pod moim garażem przez drob, który jest własnością mieszkańców tego budynku.

Paweł Kamiński Chojnów



Magia rąk

Agnieszka Szydłowska

Biopole — twierdzi profesor Lech Radwanowski — posiada każdy z nas. Nasze biopole są różne i oddziałują na siebie z różną siłą. Między ludźmi zaprzyjaźnionymi i życzliwymi zlewają się już na odległość trzech metrów. Są też pola wyrównujące się, pola obojętne i pola odpychające w przypadku wrogości lub choroby.

Gdyby biopole były widoczne dla każdego — życie byłoby prostsze, a teza profesora Radwanowskiego nie wymagałaby żadnych dowodów. Ale cóż — nauka akademicka w Polsce uparcie ignoruje istnienie, czy tylko możliwość istnienia zjawisk paranormalnych. A bioterapia, zakładająca wzajemne oddziaływanie organizmów, jest dyscypliną (nie odważam się napisać — metodą leczniczą) co najmniej dziwną. W skuteczności jej wierzą miliony ludzi, jakiś ich procent, także w naszym kraju, empirycznie doświadczył jej dobroczynnego działania. W zabiegach Stanisława Nardella brali udział lekarze, naukowcy, dziennikarze. Mimo opinii poświadczających ich wiedzę zawodową i autorytetem moralnym — ten typ leczenia nie doczekał się w Polsce ani uznania, ani nazwy. Mówi się o nich — znachor, uzdrowiciel, cudotwórca szarlatan, rzadziej — bioenergoterapeuta. Określenia o pejoratywnym zabarwieniu oddają dość wiernie oficjalne stanowisko nauki wobec zjawiska uparcie wymykającego się próbowi pomiaru i systematyzacji. Chociaż... Radiesteci-bioterapeuci wyróżniają się spośród nas, łatwą do zbadania, zwiększoną wrażliwością zmysłową, znacznie większą różnicą potencjałów energetycznych dłoni, odmienią oporności skóry, kwasowością krwi i zdolnością oddziaływania na wodę („ożywiania wody”, jak mówi się potocznie). Profesor Radwanowski, po przebadaniu około 400 radiestetów w naszym kraju u siedmiu z nich określił zdolność silnego bioterapeutycznego oddziaływania na ludzi chorych.

SZARLATANI? CUDOTWÓRCY?

Spiesząc na wykład profesora Radwanowskiego do siedziby TPN w Legnicy zaskakiwała w bramie lakoniczna wiadomość: w ostatniej chwili spotkanie przeniesiono do sali wykładowej w Zamku Piastowskim. To z powodu niespodziewanej frekwencji. Jeszcze chwila oczekiwania i niewysoki, siwy pan rozpoczyna wykład. Obok mnie i kolegi z zaprzyjaźnionej redakcji siedzi Apolonia Wieczorek, bioterapeutka zaproszona przez TPN. Na wszelki wypadek, licząc się z możliwością obłąkania bioterapeutki po wykładzie, po cichu konsultujemy nasze dolegliwości. Pani Apolonia przykłada rękę do czoła i gerca kolegi. Szybko odkryła słabe strony organizmu. Pyta też o żołądek. Widzę zaskoczenie kolegi i uśmiecham się złośliwie: cały czas powtarzał, że jako sceptyk w bioterapię nie wierzy.

Profesor mówi szybko, przeskakując rozpoczęte wątki. Wykład nie jest obliczony na efekt. Częste powoływanie się na najnowsze wyniki badań w zakresie fizyki, biologii i chemii jest dla mnie męczące, z trudem nadążam za tokiem rozumowania i nie potrafię już obserwować reakcji audytoria. Ale chyba wszyscy niecierpliwie oczekujemy demonstracji nadprzyrodzonych właściwości profesora i pani Wieczorek. Mimo to informacja, że profesor widzi otaczające nas biopole — „aure” — budzi pewną

nieufność. Jak niewierny Tomasz wyciągam rękę. Profesor Radwanowski zbliża swoje ciężkie dłonie. Czuję wyraźną falę ciepła.

— Zęby ma pani zdrowe?
— Wylezione — wruszam ramionami. Oto, profesor się pomylił... Ale po chwili przypominam sobie, że przecież od kilku dni pobolewa mnie dolna czwórka. „Coś” się dzieje pod plombą. Profesor ma rację.

A po wykładzie notowaliśmy z dziennikarską rzetelnością przypadki pozytywnego oddziaływania bioterapeutki. Spisywaliśmy na gorąco słowa pełne entuzjazmu, wdzięczności i jakby zdziwienia. Do niedawna pani Apolonia Wieczorek przyjmowała (w asyście lekarza) pacjentów w spółdzielni lekarskiej w Warszawie. Niestety, i jej, i innym bioterapeutom podziękowano za pracę. Argumentów nie było. Jest — podobno — zakaz aż z ministerstwa. Bioterapeutka opisuje swoje umiejętności w bardzo prosty sposób:

— Najlepiej wyczuwam lewą ręką. W zależności od choroby czuję gorąco, na przemian chłód i gorąco, ostre klucie w dloni, mrożenie, wrażenie pocierania chropowatego materiału. Przy raku złośliwym — ręka kłuje, aż parzy. Przy niezłęczym żołądka czuję chłód. Na tym czuciu polega diagnoza. Diagnostuję dla siebie, aby dobrze oddziaływać. Profesor określił że mam zdolność wzbudzania układu immunologicznego, powinnam więc każdemu pomóc. Niektóre dolegliwości, na przykład ból głowy, ustępują od razu. Inne wymagają dłuższego oddziaływania.

ENERGIA ŻYCIA

Profesor Radwanowski interesuje się zjawiskami paranormalnymi od wielu lat. Według niego, człowiek dysponuje dynamicznym zmysłem czucia specyfiki otoczenia. Ten zmysł, nazwany radiestezją (z gr. radios — promienisty, aisthenastai — czucie) nie jest „darem bogów”, postannictwem czy umiędziętnością. Radiesteta „reaguje na ośrodki atmosferyczne lokalne wokół źródła wzbudzenia energetycznego o cechach plazmy niskotemperaturowej, mającej podwyższoną przewodność z określonymi efektami fal i pól energetycznych. Odbiór odzyska drżeniem określonych mięśni, pulsacja arterii, lokalna ciepota (lub chłód)

Prof. dr hab. Lech J. Radwanowski, architekt i członek World University, jest autorem znanych w kraju i za granicą publikacji naukowych i projektów architektonicznych. Osobne miejsce w kręgu zainteresowań naukowych profesora, posiadającego wrodzone zdolności sensytywności radiestezji, zajmują badania zjawisk paranormalnych. W oparciu o dodatkowe studia fizyki, biologii i chemii prof. Radwanowski podejmuje próby naukowego wyjaśnienia wielu takich zjawisk, jak bioterapia oraz wpływ promieniowania stref nad ciekami wodnymi na materię ożywioną i nieożywioną. Na zaproszenie Zarządu TPN w Legnicy prof. Radwanowski wygłosił wykład pt. „Demonstracja radiestezji”, połączonej z demonstracją oddziaływań bioterapeutycznych.

dem) oraz wychylaniem się różdżki, o-brotami wahadła, oddziaływaniem na płyny. Reaktywności radiestety nie muszą towarzyszyć przypisywane mu własności oddziaływania leczniczego”.

Zmysł radiestezyjny — niewidoczny, tajemniczy. Na nim opierały się nauki okultystyczne, praktyki czarnej i białej magii. Zdaniem profesora Radwanowskiego — czarna magia to moc roztrwoniona, biała magia — moc twórcza, której nie umiemy i nie chcemy wykorzystać. Radiestetów, jak dobrze wiemy, wykorzystywano od tysięcy lat do ujawniania stref nad ciekami wód wglębnymi, ujawniania rusztu globalnego (zwane go inaczej siatką geopatyczną lub szwajcarską), odnajdywania przedmiotów ukrytych, diagnozowania chorobowego, oddziaływania uzdrawiającego i telepatycznej.

Nie są to zagadnienia blahe. Strefy nad ciekami wód wglębnych (popularnie zwanych żyłami wodnymi) są specyficznym lokalnym ośrodkiem wzbudzania atmosferycznego, szkodliwym dla człowieka. Oddziaływanie stref powoduje przyspieszone procesy starzenia materii ożywionej i nieożywionej, a najbardziej niekorzystnie wpływa na dzieci do lat 12 i kobiety ciężarne. Z kolei ruszt globalny, romboidalne pola oddziaływania ziemi — jest nie tylko nieszkodliwy, ale przyspiesza się, że działa jako stymulator życia i orientacji w przestrzeni.

BIOCENOTYKA

to termin, jaki profesor Radwanowski proponuje dla nazwania dyscypliny, która zajmowałaby się zdrowotną jakością ekologicznego środowiska człowieka. Najogólniej rzecz ujmując, sens tej dyscypliny technicznej sprowadzałby się do optymalizacji warunków życia, pracy i odpoczynku człowieka w taki sposób, aby naturalne siły przyrody i zmiany cywilizacyjne środowiska działały nie przeciw niemu, ale stymulowały jego twórczą energię. Biocenotyka byłaby więc dyscypliną ściśle użyteczną, nastawioną na praktyczne wdrożenie osiągnięć innych nauk. Wachlarz możliwych zastosowań ogromny: poprzedzenie procesów inwestycyjnych badaniami terenu umożliwiającymi zdrową lokalizację obiektów, materiałowe, technologiczne i architektoniczne przystosowanie do potrzeb zdrowotnych i emocjonalno-estetycznych, bezpieczne i optymalne składowanie i przechowywanie żywności... Biocenotyka byłaby zarazem „poprawianiem” natury. O ile oddziaływanie przyrody określić można mianem „zdrowe”, to emisja środowiska przeobrażonego według wskazań biocenotyki byłaby „zdrowsza”, jakościowo lepsza i zapewniająca większą homeostazę człowieka i środowiska.

A skoro o zdrowiu mowa, wróćmy do najbardziej kontrowersyjnego zastosowania radiestezji:

LECZENIA CHOROŚ.

Profesor Radwanowski twierdzi: człowiek jest bioukładem termodynamicznym, zasilanym od wewnątrz odżywianiem i oddychaniem, a od zewnątrz emisją środowiska. Bioukład jest wysocą złożoną strukturą typu reaktywnego posiadającego własności energetyczno-informacyjne. Zróżnicowanie bodźców zasilających i bodźców metabolicznych daje w efekcie niesłychane zróżnicowanie pola oddziaływania. Upraszczając — każdy człowiek emituje charakterystyczne biopole, na które reaguje pewna część ludzi — radiestetów. Radiesteta, który posiada zdolność widzenia biopola, czyli „aury”, może wskazać w niej miejsca anormalnych plam i przeobrażeń będących skutkiem choroby. Miejsca zaburzone odbierają radiesteci także poprzez dotyk. Ich oddziaływanie natomiast jest selektywne: nie ma radiestetów-bioterapeutów oddziałujących skutecznie na wszystkie schorzenia. Oddziaływanie radiestetów nie ma charakteru przekazywania energii, stąd niewłaściwe jest określenie „bioenergoterapia”. Bioterapeuta ma zdolność silnej obronnej reakcji własnego biopola na agresywne biopole chorego. Obronne biopole bioterapeuty pobudza zwrócić organizm chorego powodując jego samoregenerację. Proste, ale i niebezpieczne. Każdy bioterapeuta może oddziaływać leczniczo tylko na tę grupę schorzeń, których samoregeneracyjny mechanizm może uruchomić. Leczenie bioterapeutyczne powinno przebiegać wyłącznie przy współudziale lekarza. Inaczej stan chorego może ulec nie poprawie, lecz pogorszeniu.

BIOTERAPIA

— nadzieja wielu chorych i cierpiących. Z tą nie uznana metoda leczenia wiąże się wiele oczekiwań opartych także na racjonalnych przesłankach. Obecnie jest to wciąż wstydliwa kwestia „wiary”, a nie przedmiot badań naukowych. Co się z tym kryje? Praktyki szarlatanów? Dobroczynne siły natury?

„O dodatkowe połączenie”

Odpowiadając na wniosek mieszkańców wsi Goliszów i Niedźwiedzice dotyczący zmiany przebiegu autobusu w kursie relacji Autostrada Oś — Legnica na odcinku Chojnow — Legnica z godz. 18.10. Oddział KPKS w Legnicy informuje:

Przeprowadzona analiza prowadzonych kursów w godzinach popołudniowych relacji Chojnow — Legnica przez Goliszów i Niedźwiedzice oraz przez Michów, Dobroszów wykazała, że wniosek mieszkańców nie może być załatwiony pozytywnie. Zmiana dotychczasowego przebiegu autobusu na wskazanym odcinku spowodowałaby pozbawienie jednego połączenia w godzinach popołudniowych z Legnicą i Chojnowem mieszkańców wsi Michów i Dobroszów.

Natomiast mieszkańcy wsi Goliszów i Niedźwiedzice mogą korzystać w godzinach popołudniowych i wieczornych z autobusów relacji Chojnow — Legnica o godz. 15.15, 16.20 i 20.20.

Za negatywne załatwienie sprawy u-przejmnie przepraszamy.

Zastępca dyrektora
ds. eksploatacji
Jürgen Gretscheł

Zamek w Grodzcu

Z okazji Dni Turystyki obchodzonych uroczystości w naszym kraju, pragnę przekazać parę zdań w stylu „gwóźdź w bucie” dotyczących zamku Grodziec — jako atrakcji turystycznej województwa legnickiego. W „Przewodniku po Polsce” („Sport i Turystyka” 1977) Grodziec oznaczono gwiazdką jako miejsce godne uwagi m. in., ze względu na: „...z wieży wspaniałych widok na Bory Dolnośląskie, Góry Kaczawskie i Kar-konosze...”.

W sezonie '86 obiekt był w remoncie. Stąd turystom przybywającym tu pozostało do oglądania dziedziczyć zamkowy oraz spacer na wieżę będącą wspaniałym punktem widokowym, udostępnioną do zwiedzania w r. 1980. Wówczas z inicjatywą PTTK i Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy wykonano podstawowe prace umożliwiające bezpieczne wejście i pobyt na wieży. Od tego czasu, niestety, brak śladów jakiegokolwiek opieki i konserwacji drewnianych schodów, pomostu, metalowych krat i łańcuchów, niszczone przez czynniki atmosferyczne.

Na punkcie widokowym wyrwany gręt zabezpieczający zagraża bezpieczeństwu zwiedzających.

Wiele kontrowersji budzi również sprawa komunikacji z zamkiem. Ustawiony przed laty również zakaz wjazdu i szlaban nie jest respektowany zwłaszcza... przez organizatorów większych imprez „turystyczno-rozrywkowych”.

Uważam, że spacer pieszy do zamku malowniczymi schodami wszystkim ludziom pełnosprawnym nie powinien zaszkodzić, umysławiając konieczność podjęcia prac remontowych na tym szlaku (bez czekania na zakończenie remontu całego obiektu). Szkoda również, że osoba mieszkająca w zamku z ramienia Cementowni „Podgrodzie” nie prowadzi sprzedaży drobnych pamiątek o zamku Grodziec. Przecież już były podejmowane takie próby z pożytkiem dla turystów krajowych i zagranicznych. Może w sezonie 1987 ktoś dostrzeże ten problem?

Edward Wiśniewski
Legnica

Przemakalna plandeka

Sklep „Polmożbyta” nr 5 w Legnicy ul. Galińskiego 5, sprzedał mi plandekę. Gdy zacząłem używać plandeki w czasie deszczu, zaczęła mi przeciekać (plandeka samochodowa). Zwróciłem się w tej sprawie do kierownika sklepu i pokazałem na miejscu stan faktyczny, gdy padał deszcz. Zażądałem zwrotu gotówki, ale kierownik sklepu odmówił mi zwrotu gotówki w tak oczywistej sprawie, tłumacząc się tym, że plandeka jest przerwaną w jednym miejscu. Ja twierdziłem, że sklep musi mi zwrócić gotówkę, gdyż to nie ma żadnego wpływu — bo towar dopuszczony do sprzedaży jest niepełnowartościowy z wadą fabryczną. Zwracałem się kilkakrotnie w tej sprawie, za każdym razem otrzymując odpowiedź odmowną. Mam dowód sprzedaży kupionej plandeki Bh-106810 i gwarancję. Zadam natychmiastowego zwrotu gotówki bez przeciągania sprawy.

Jan Moszyński
Legnica

Dożynkowy korowód



Nie przecież tak nie podkreśla rolniczego trudu, jak udane dożynki. Plon niesiemy, plon — to słowa, które od setek lat rozpoczynają dożynki na ziemiach polskich. I tradycję tę powinniśmy zachować.

Organizację tegorocznych dożynek wojewódzkich powierzono gminie Mściwojów. Nic dziwnego. Rolnicy indywidualni, spółdzielcy i pracownicy gospodarstw państwowych w tej gminie od lat należeli do czołówki wojewódzkiej. I w tym roku rolnicy z Mściwojowa okazali się najlepsi. Średnie plony czterech zbóż wynosiły tu 47,7 kwintala z hektara. Takimi plonami może się pochwalić niewiele gmin w kraju.

Bezpośrednim organizatorem dożynkowego święta został Zakład Rolny Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Targoszynie. Zakład ten może być wzorem zarówno dla gospodarstw społecznych, jak i dla rolników indywidualnych.

W przeddzień dożynkowego święta kierownictwo polityczne i administracyjne województwa odwiedziło przodujące gospodarstwa społeczne. I sekretarz KW PZPR Henryk Nowak, prezes WK ZSL Eugeniusz Hasiuk, przewodniczący WRN Eugeniusz Barczyński i wojewoda Ryszard Jelonek odwiedzili spółdzielców w RSP w Bielanych i SKR w Złotorii. Wizytowali gospodarstwa Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Chojnowie i PGR w Krzeczynie Wielkim.

W dniu dożynkowy przedstawiciele władz wojewódzkich zwiedzili gospodarstwa starościny i starosty wojewódzkiego święta plonów. Starościna — Maria Szymonowicz — prowadzi wraz z mężem wzorowe gospodarstwo w Mściwojowie. Starosta — Krzysztof Dziura — to rolnik, który może konkurować z każdym. Z dziewięciohektarowego gospodarstwa sprzedaje płody rolne za 3,4 mln zł rocznie. Plony rzepaku i zbóż na polu starosty są rekordowe. W gminie mówi się, że kilkakrotnie mieżono mu pole, kiedy okazało się, że rzepak plonował u niego po 42 kwintale z hektara.

Wicestarostami Wojewódzkiego Święta Plonów zostali Genowefa Bigos z WOPR-u i Józef Pastula z przodującej w województwie spółdzielni w Siekierzycach.

Dożynkowy korowód był w tym roku imponujący. Każda gmina, wiele PGR-ów i RSP przyjechało do Targoszyna, aby pochwalić się swoim wieniec. Każdy z nich w otoczeniu członków zespołów folklorystycznych przeniesiono przed dożynkowym stołem, za którym zasiadli przedstawiciele władz wojewódzkich, a wśród nich gospodarz dożynek przewodniczący WRN, Eugeniusz Barczyński.

Zanim tradycyjny bochen chleba starostowie dożynek przekazali Eugeniuszowi Barczyńskiemu przed zebranymi w targoszyńskim parku uczestnikami Wojewódzkiego Święta Plonów stanęli członkowie zespołów folklorystycznych, którzy w zainscenizowanych żywych obrazach pokazali poszczególne etapy żniwnego trudu.

Pozdrowienia i podziękowania za wyteżoną pracę przekazał rolnikom województwa I sekretarz KW PZPR Henryk Nowak, który w swoim wystąpieniu stwierdził, iż pod względem produkcji rolnej Legnickie należy do przodują-

cych regionów w kraju. W bieżącym roku zebrano w województwie zboże ze 117 tys. hektarów, a rzepak z 17 tys. ha. Przeciętne zbiory rzepaku wyniosły 26,3 kwintala i były wyższe od ubiegłorocznych o 5,5 kwintala. W sumie skupiono 44,5 tys. ton ziarna rzepakowego, czyli 4,5 tys. ton więcej niż przewidywał plan. Średnie zbiory czterech zbóż wyniosły 38,1 kwintala i były wyższe od ubiegłorocznych o 0,4 kwintala. Dotychczas skupiono w Legnickim 154 tys. ton zbóż. Najwyższe zbiory uzyskiwały PGR-y. Przeciętnie uzyskano 39,9 kwintala ziarna z ha. Wśród rolników indywidualnych najlepsze wyniki osiągnęli rolnicy z Mściwojowa, Wądroża Wielkiego, Krotoszy i Udanina.

Dożynki to nie tylko podsumowanie rolniczego dorobku i podziękowanie za żniwny trud. Dożynki to wielka zabawa — festyny, kiermasze, tradycyjne wiejskie loterie fantowe, konkursy sprawnościowe. Wszystko to zaczęło się w Targoszynie już od 9 rano. Przed zapelnionymi atrakcyjnymi towarami samochodami GS-u, „Spolem” WPHW tłoczyło się tysiące ludzi. Wielu przyjechało tu przede wszystkim, aby kupić coś, co na co dzień trudno uświadczyc w sklepach.

Wśród loteryjnych nagród królowały talony. Dziwna to, ale taka charakterystyczna w naszych warunkach sytuacja, wygrywać talony na kupno pralki, roweru, opiekacza, telewizora, suszarki do włosów. Kiedyś na loteriach dożynkowych wygrywało się króliki, gęsi, gołębie, worek owsa. To były nagrody, a nie tam jakieś talony.

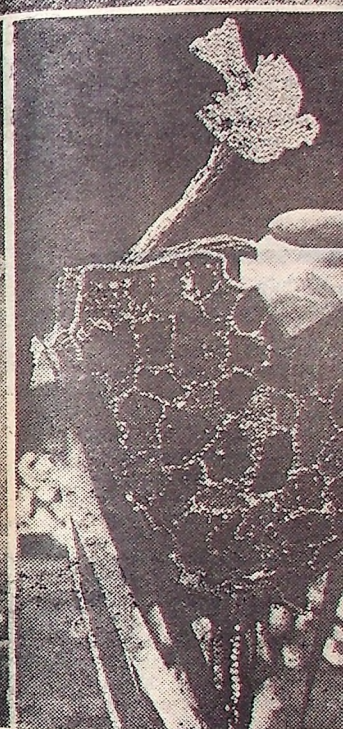
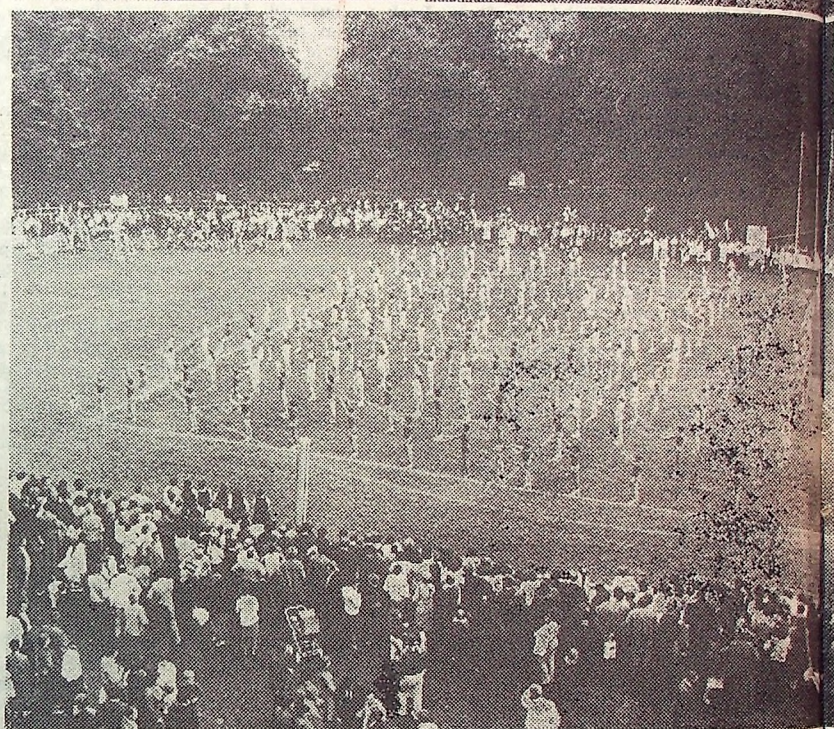
Wszystkim, którzy odwiedzili w dniu dożynkowego święta Targoszyń, podobała się wystawa rolnicza zorganizowana przez WOPR, Centralę Nasienną, WSOP, WZRKiOR, WSKiOR. Tłok wokół pojemników pełnych dorodnych jabłek, warzyw, ziarna, roślin okopowych był ogromny. Każdy chciał dotknąć, zobaczyć na własne oczy — czy aby nie jest to sztuczne.

Dożynkowe święto zakończyło się tradycyjną zabawą ludową i występami zespołów folklorystycznych, których w tym roku zjechało do Targoszyna kilkanaście.

Korowód dożynkowy zakończony, ale na polach pozostały do zebrania okopowe. Trzeba też siał zboża ozime. Rolniczy trud nie kończy się nigdy.

13 bm., w przededniu wojewódzkich dożynek gospodarze województwa z I sekretarzem KW PZPR Henrykiem Nowakiem przebywali w społecznych gospodarstwach rolnych. Odwiedzono Rolniczą Spółdzielnię Produkcijną „Bielany”, Spółdzielnię Kółek Rolniczych w Złotorii, Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej w Chojnowie i Państwowe Gospodarstwo Rolne w Krzeczynie Wielkim.

Wszędzie gościom towarzyszył miejscowy aktyw PZPR, ZSL i społeczno-gospodarczy. Odwiedzone gospodarstwa wyróżniają się wysokimi wynikami produkcyjnymi, dobrymi warunkami technicznymi i socjalno-bytowymi. W czasie spotkań z aktywnym zakładów mówiono także o problemach rolnictwa i jego perspektywach. Przedstawiciele władz wojewódzkich złożyli pracownikom rolnictwa podziękowanie za trud i gratulacje za sprawne przeprowadzenie tegorocznych żniw.



Zdjęcia: Janusz Budnicki
Tekst: Agnieszka Szydłowska

Mówią o sobie: Serbowie, ale w języku polskim, ze względu na mylące skojarzenie z Serbami bałkańskimi, przyjęła się nazwa Serbołużyczanie lub Łużyczanie. Choć nie omijały ich wichry i burze historii — przetrwali, obronili swój słowiański język i kulturę.

Nazwisko Juri Brězana znane jest wszystkim mieszkańcom NRD. Pisarz jest Serbołużyczaninem, mieszka na stałe w Horni Hajuk w powiecie budziszyńskim i pisze w swoim rodzimym języku. Pełni też funkcję wiceprezesa Związku Pisarzy NRD, a jego książki tłumaczy się na wiele języków. W naszym kraju nakładem wydawnictwa „Śląsk” ukazały się między innymi powieści „Podróż do Krakowa”, „Portret starego ojca”, „Krawat”. Pozycja i zasłużony rozgłos, towarzyszący twórczości pisarza, są wyrazistym przykładem zmian, jakie dokonały się w położeniu 100-tysięcznej mniejszości narodowej w socjalistycznym państwie niemieckim. Konstytucyjnie zagwarantowane prawo do odrębności językowej i rozwoju kultury nie jest tylko martwą literą prawa. Miejsowości serbołużyckie opatrzone są tablicami z dwujęzycznymi napisami, po łużycku mówi się w urzędach, sklepach,

nister kultury przyznaje nagrodę jego imienia ludziom najbardziej zasłużonym dla kultury.

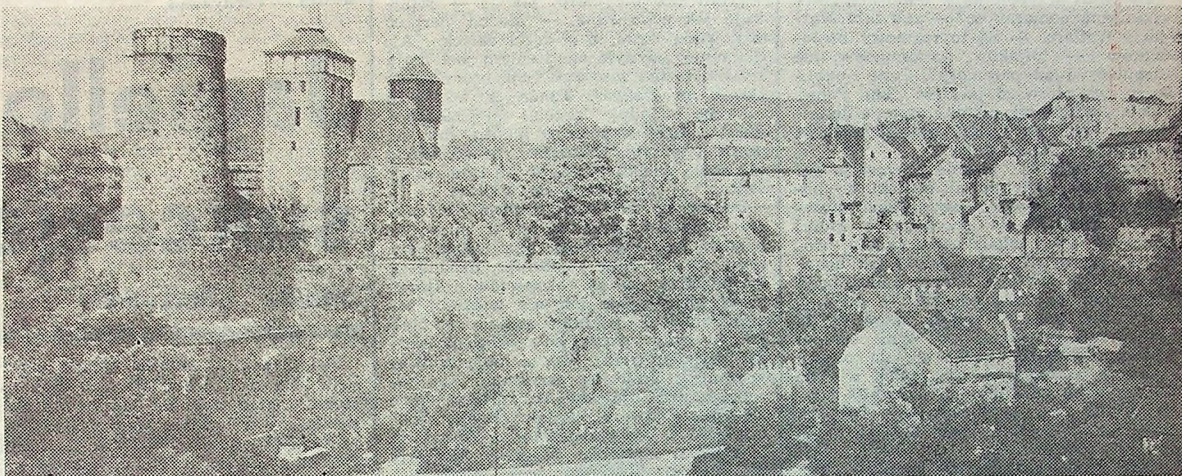
W NRD ceni się także pamięć Serbołużyczan ofiar hitleryzmu. Bohaterowie żyją w historii i literaturze. Często wraca na deski sceniczne sztuka J. Brězana pt. „Stara Jancowa”, nawiązująca do prześladowań narodowościowych w okresie faszyzmu. W powieści „Grób w lesie łużyckim” Marja Kubašec opisała osnutą na autentycznych faktach tragiczną miłość Łużyczanki Marji i polskiego robotnika wywiezionego do Niemiec na roboty przymusowe. Polaka rozstrzelano. Marja przeżyła obóz koncentracyjny i mieszka w okolicach Neschwitz. W obozie koncentracyjnym zginął Alojs Andricki, katolicki ksiądz, który potępił faszyzm z ambona dreźnieńskiego kościoła dworskiego, i Marja Grolmus, działaczka SPD. Ale ani obozy, ani prześladowania nie zabili języka i kultury słowiańskiej.

TEN ODLAM SŁOWIAN

pozostający przez całe tysiąclecie w izolacji etnicznej, zachował — w formie

zabierają się do ścięcia drzewka, a na dany sygnał z drugiego końca wsi startują chłopcy do wysięgu o drzewko. Zwycięzca — król majowy — wybiera za towarzyszkę najpiękniejszą dziewczynę ze wsi i oboje rozpoczynają zabawę. A w najkrótszą noc roku, naszą „sobótkę”, bohaterem dnia jest wybrany solenizant. Oplecionego wieńcami z bławatków i przystrojonego koroną obwozi się na koniu, póki nie spadnie. Wtedy każdy stara się uszczknąć nieco wieńca jako talizman chroniący przed chorobami. W zamierzonych czasach zabawa kończyła się zapewne śmiercią mimowolnego bohatera — ale teraz nie mu nie grozi. Święto kończy konne polowanie na kuguta i ogólna zabawa. Warto dodać, że konie odgrywają w kulturze Serbołużyczan rolę szczególną i raczej nie są używane do pracy na roli lub jako siła pociągowa. Zdarzyło mi się za to kilkakrotnie widzieć chłopców ujeżdżających dobrze wypasione i zadbane rumaki.

Miejskowe obyczaje i obrzędy są dość różnicowane nawet w sąsiednich powiatach. Wynika to stąd, że łużycka ziemia nie stanowiła nigdy odrębnego organizmu politycznego. Obok Hoyerswerdy obecnie powiatowego miasta, prze-



Bautzen znaczy Budziszyn

(Korespondencja własna z NRD)

Agnieszka Szydłowska

na ulicy; w radiu nadawane są audycje regionalnej rozgłośni łużyckiej w Cottbus. Aby zrozumieć, jak wielka to zmiana, trzeba się cofnąć do historii. Przez wiele wieków Serbołużyczanie byli w najlepszym razie tolerowani — jak wyraził się redaktor Alfons Wičaz z dziennika „Nowa Doba” wprowadzający mnie w rodzimą historię i kulturę. Co prawda w czasach Republiki Weimarskiej Serbołużyczanie uzyskali prawo do nauki języka w szkołach — ale nie doczekało się ono praktycznej realizacji. Niedługo też przetrwało wydawnictwo „Serbskie Nowiny” i założone w 1912 roku stowarzyszenie narodowościowe „Domowina” pod którego egidą działały organizacje kulturalne, społeczne i sportowe. W mrocznych latach faszyzmu na ich działalność nie było miejsca. Wywierano nacisk aby „Domowinę” przekształcić w związek Niemców mówiących po łużycku — a odmowa stała się pretekstem do zdelegalizowania stowarzyszenia. Faszyści od chwili dojścia do władzy prowadzili represyjną politykę wynaradawiania Serbołużyczan; obozem karano nie tylko jakiegokolwiek przejawy postaw narodowościowych, ale nawet posługiwanie się znienawidzonym językiem słowiańskim.

KAZDY NARÓD

ma swoich bohaterów i nauczycieli. Słowem i czynem podsycają oni płomyk nadziei w czasach wątpliwości, dodają siły i zagrzewają do walki. Na miano ojca duchowego Serbołużyczan zasłużył w pełni Jakub Bart-Ćišinski, ksiądz, poeta, pisarz i nieustraszony działacz społeczny. Żyjący w II połowie XIX wieku ksiądz słowem i piórem nawoływał do jedności, umacniania języka i kultury, a jako badacz wniósł oryginalny wkład do sławistyki. Niedawno w NRD wydano jego 14-tomowe „Dzieła zebrane”, a mi-

prawie nieskazitelną wplywami chrześcijaństwa i kultury niemieckiej — obyczaje i obrzędy o pogańskim rodowodzie i charakterze magicznym. I chociaż obecnie nikt już nie pamięta ich źródeł ani magicznego znaczenia przetrwały w tradycji jako nieodłączny element miejscowej kultury. Starodawne obrzędy związane są z rytmem pór roku, zaklęciem przyrody, ochroną pól i chat przed wrogimi mocami. A przy tym są pełne radości i ludowej witalności. Święto najbardziej radosne, wyczekiwane, zwłaszcza przez dzieci, to „Ptasie wesele” obchodzone każdego 25 stycznia. Tu już tradycja w znacznym stopniu uzupełniona była przez improwizowane atrakcje, ale nieodmiennie kulminacyjnym punktem zabawy jest otrzymywanie prezentów przez dzieci — wypieków w kształcie ptaków i zwierząt, oraz inscenizacja ptasiego wesela. Występ ma charakter symboliczny, pod postacią ptaków kryją się wady i przywary ludzi. Święto kończy się ogólną zabawą karnawałową.

Tradycja wielkanocnych „Orszaków konnych” związana jest z dawnymi zabiegami magicznymi w celu ochrony pól przed złymi duchami. Z czasem obyczaj spłótł się ze Świętami Wielkanocnymi i stanowi ich nieodłączną część. Bajecznie przystrojeni jeźdźcy i rumaki, z chorałami i śpiewem wyruszają na objazd wioskowych włości i spotkanie innych orszaków. Niestety, wszystkie obrzędy ludowe oglądałam tylko na slajdach. Bardzo efektowne jest też „Święto majowe”, do którego 30 kwietnia budową drzewka majowego: na oplecionym wieńcami, wysokim pniu ustawia się brzoźkę. Przez dwa tygodnie kawalerowie czuwają, aby drzewka nie zniszczyli nocą młodzieńcy z sąsiednich wsi. Wreszcie nadchodzi uroczysty dzień: gospodarze

biegają, dawna granica między Prusami i Saksonią i podział ten wyznacza zarysem granicę między Górnymi i Dolnymi, Łużycami. Język dolnołużycki spokrewniony jest z polskim, górnołużycki z czeskim.

W BUDZISZYNIE

pamięta się jeszcze słowa, wypowiedziane w 1950 roku na wiecu mniejszościowym przez Wilhelma Piecka, późniejszego prezydenta NRD: „Przez setki lat Niemcy byli przeciwni Serbołużyczanom i Serbołużyzmowi przeciw Niemcom. Czas, aby to zmienić”. Słowa wbitnego polityka znalazły potwierdzenie w polityce partii i rządu. Nareszcie język łużycki trafił do szkół. Rodzice decydują, czy dziecko ma uczęszczać do klasy, w której językiem wykładowym jest serbołużycki, czy niemiecki. Jak nigdy dotąd, rozwinięła się łużycka prasa i wydawnictwa. W Budziszynie wychodzi dziennik „Nowa Doba”, tygodnik „Nowy Casnik”, miesięcznik społeczno-kulturalny „Rozhlad”, poradnik metodyczny dla nauczycieli „Serbska šula”, „Plomjo”, dwutygodnik dla dzieci górnołużyckich, miesięcznik „Plomje” dla małych dolnołużyczan i periodyk sławistyczny „Latopis”. Stowarzyszenie Kulturalne „Domowina” wydaje około stu tytułów książek i podręczników rocznie. Działają mniejszościowe teatry, zespoły śpiewacze, muzyczne i inne. — Kultura serbołużycka wzbogaca kulturę NRD — mówi red Wičaz — Ten piękny język i kultura przetrwały wieki i nareszcie mamy szansę, aby nasze bogactwo pokazać światu i rozwijać. My, Serbołużyczanie mamy świadomość, że przyszłość naszego języka i kultury zależy od nas samych. Jak tę szansę potrafimy wykorzystać — pokaże czas...

Podwójne życie sióstr Gibbons

(Dokończenie z numeru 36)

I nagle, brutalnie objawia im się literatura. Odkrywają ją dzięki pewnemu klubowi, który wysłał im klasyków angielskich. Jest to przełom, miłość od pierwszego wejrzenia, która nada ich egzystencji nowy wymiar — siostry Gibbons postanawiają, że będą sławnymi pisarkami. Zaczynają studiować gramatykę, znaki przestankowe. Pochłaniają słowniki, zapisują się na kurs korespondencyjny.

Ich pisarstwo nosi znamiona jakiegoś twórczego rozpasania. Ich utwory są oryginalne, mocne, a zwłaszcza wyróżniają się znakomitymi dialogami. „Ich urojony świat przypomina w dialogach „Mechaniczną pomarańczę” — zauważa Marjorie Wallace. — Są to rozmowy nastolatów — pijaków, narkomanów, nie stroniących od przemocy”. June opublikuje swą pierwszą powieść „The Pepsi-Cola Addict” własnym sumptem. Jennifer nie uda się wydać dwóch powieści „Bokser” i „Discomania”.

Pewnego dnia pisanie przestaje już wystarczać. 18-letnie bliźniaczki wychodzą ze swego pokoju, aby poznać prawdziwe życie. I oto przygoda, o której marzyły: dwaj młodzi Amerykanie, urodziwi, agresywni i gwałtowni jak bohaterowie ich powieści. Razem z nimi będą odkrywać wszystko od razu — alkohol, narkotyki, seks... i miłość skoro są do szaleństwa zakochane w tym samym chłopcu. Jennifer kocha się na oczach siostry, jeszcze dziewczycy. „Bóg wie do czego byłoby podobny ten dziennik, gdybym tego lata nie poznała tajemnic miłości, namietności i seksu” — pisze Jennifer.

Tym dotkliwszy będzie upadek... Ten epizod — który stworzył pierwszą prawdziwą różnicę między bliźniaczkami — rozniecił ukrytą nienawiść. W ciągu niespełna tygodnia Jennifer próbuje uduśnić June, po czym June usiłuje utopić Jennifer, po czym obie padają sobie w ramiona i całują się po raz pierwszy w życiu.

Rodzina nie wie nic o tych strasznych przeżyciach. W domu dziewczyny są nadal milczącymi robotami. Nikt nie słyszy głosu ich niewypowiedzianej rozpaczy.

Chłopcy wracają do Stanów Zjednoczonych. June i Jennifer, kompletnie zagubione pogrążają się nieodwołalnie w otchłani przestępczości. Demolują, rozbijają, kradną. Ale to jeszcze za mało, aby uzewnętrznić niszczycielską przemoc. Wkrótce stają się podpalaczkami i zostają zatrzymane z paczką zapalek w ręku.

Za kratami tymczasowego aresztu w Pucklechurch marzą o nowym życiu.

O życiu, w którym nie będą już pozostawione same sobie. Ale i tu spotyka je rozczarowanie: nie mogą znieść obecności innych więźniarek zamieniają się w kamienne, nieruchome posągi, na noc trzeba im zamykać oczy jak nieboszczykom....

Pewnego dnia znowu nabierają życia i to ożywienie graniczy z brutalnością. Są zamknięte w czterech ścianach celi ze swą nienawiścią. Dzienniki, które nadal prowadzą z całą energią rozpacz, opisują dokładnie wciąż tę samą historię. Historię śmiertelnej walki, której celem jest pokonanie tej drugiej. „Powinna była umrzeć zaraz po urodzeniu — pisze Jennifer. — Kain zabił Abela, każdy bliźniak powinien o tym pamiętać”.

„Nikt tak nie cierpi jak ja — replikuje jak echo June. — Można cierpieć z powodu męża, z powodu dziecka. Ale dla mnie jedynym cierpieniem jest moja siostra, to ten mroczny cień, który przesłania mi słońce”. Także w więzieniu nikt nie odgaduje tragedii tej przeklętej pary. „Mimo wspólnego frontu, jaki na pozór tworzyły, oddzielała je od siebie tak samo wielka przepaść jak i od reszty świata” — pisze Marjorie Wallace.

Po bardzo krótkim procesie, na którym adwokat powołuje się na nieodpowiedzialność dziewcząt, sąd orzeka surowy wyrok: June i Jennifer, uznane za psychopatkę przez ekspertów, którzy praktycznie wcale ich nie widzieli, zostają skazane na internowanie w szpitalu psychiatrycznym na czas nieokreślony. Bliźniaczki raz jeszcze mają nadzieję znaleźć spokojną przystań... Ale karetka zawozi je do Broadmoor, gdzie znajdują się pośród obłąkanych zbrodniarzy, takich jak rozpruwacz z Yorkshire.

Właśnie na tym procesie Marjorie Wallace poznała „bliźniaczki milczenia”. Potem zapoznała się z ich utworami. Wzruszone jej zainteresowaniem siostry wręczyły jej w Broadmoor dzienniki pisane w więzieniu. Marjorie Wallace przez trzy lata rozszyfrowywała owe teksty, licząc ponad 2000 słów na stronę. Dotarła do świata, którego istnienia nikt nie podejrzewał. Zdumiona talentem sióstr i urzeczona ich przedziwnym losem Marjorie zaczęła sama przeżywać, stronica po stronicie, podwójne życie bliźniaczek. Ta ładna młoda kobieta czuje się odpowiedzialna za losy Jennifer i June Gibbons. Żywi skrytą nadzieję, że jej książka pomoże milczącym bliźniaczkom.

A one bardzo tego potrzebują. Od czterech lat June i Jennifer zamknięte są w oddzielnych pomieszczeniach w Broadmoor. Nie są objęte żadną terapią. Podają im wielkie ilości środków uspokajających. Przestały pisać...



Dzieje ziemi głogowskiej

(36)

Śmierć młodego króla Ludwika na polach pod Mohaczem osierociła dwa trony czeski i węgierski. Pretensje do obu tych koron wysuwał bardzo energicznie i konsekwentnie arcyksiążę Ferdynand, młodszy brat cesarza Karola V, wówczas już regent wszystkich posiadłości Habsburgów w Rzeszy, który swoje roszczenia opierał na układzie wiedeńskim zawartym pomiędzy Władysławem II i dziadkiem Ferdynanda — cesarzem Maksymilianem, o wzajemnym dziedziczeniu obu rodów (Ferdynand był żonaty z Anną, córką Władysława II). Drugim pretendentem był król polski Zygmunt I Stary, którego prawa opierały się na złotej bulli Karola IV z 1348 r., mówiącej o tym, że stany czeskie będą mogły wybrać króla dopiero po wymiarciu panującej dynastii po mieczu i po kądzieli, wobec czego on, stryj zmarłego króla Ludwika, ma bliższe prawa niż mąż jego siostry — Ferdynand.

Jagiellońska sukcesja

Janusz Chutkowski

Roszczenia Zygmunta poparł wprawdzie biskup wrocławski, a wcześniejszy starosta głogowski dr Jakub von Salza, działający w imieniu stanów śląskich oraz książe legnicki Fryderyk II, ale król Zygmunt nie był do końca zdecydowany i działał opieszale, a Ferdynand przeciwnie — energicznie i skutecznie i on też w 1526 r. został królem Czech, a w następnym roku królem Węgier. Odtąd już, aż do roku 1740 cały Śląsk, a w tym również i księstwo głogowskie, znalazło się we władaniu Habsburgów.

Pozostawał więc Głogów kolejno w posiadaniu króla, a potem cesarza Ferdynanda (1526—1564), cesarza Maksymiliana II (1564—1576), cesarza Rudolfa II (1576—1611) i ich następców. Lata te upływały pod znakiem sporów i waśni religijnych i ruchów społecznych (o których napiszemy osobno), ale też oznaczały stały, trwający aż do wojny trzydziestoletniej i zamienienia miasta w twierdzę, jego rozwój gospodarczy, wzrost liczby i zamożności mieszkańców. Ciężko nad nim jednak, tak jak nad całym Śląskiem, groźba inwazji tureckiej.

Najpierw jednak król Ferdynand, będący w ciągłych kłopotach finansowych, zastawił w 1537 r. księstwo głogowskie za 34 tysiące dukatów znanemu bogaczowi Jeronimowi Bibersteinowi, właścicielowi Zar. Potem, w 1540 r., księciu legnickiemu Fryderykowi II za 62.473 dukaty — ten jednak utrzymał się przy swoim i zastawie tylko przez trzy lata. Ściągał też Ferdynand potężne podatki, zarówno z miast księstwa, jak też z ludności wiejskiej, ale uczynił również coś co zapewniło mu wdzięczność mieszkańców. Wprowadził mianowicie w Czechach i na Śląsku jednolitą monetę — guldenny i krajczary — w miejsce będących dotychczas w obiegu najrozmaitszych środków płatniczych. Ukreślił również nielegalny, a szczególnie rozpowszechniony w Głogowie proceder przetapiania złota i srebra i fałszowania będących w obiegu monet. W 1537 r. ustanowił on również komorę śląską (rodzaj rządu), która istniała już przez cały okres władzy Habsburgów. Był to jednak okres wzrostu absolutnej władzy królewskiej. Miasta królewskie, do których zaliczał się również Głogów, stopniowo traciły swoje przywileje. W 1546 r. przyznano starostom prawo mianowania z 16 wybranych osób, burmistrza i 7 radnych. W 1561 r. powrócono wprawdzie do swobodnego wyboru rady miejskiej, ale władza urzędników królewskich była już tak ugruntowana, że rada nie stanowiła dla nich liczącej się konkurencji. A urzędników tych było bardzo wielu: burmistrz, syndyk, wójt miejski, pisarz miejski, ławnicy, radcy, policjanci targowi, policjanci dzielnicowi

wi oraz bardzo liczni funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości, często również o kompetencjach administracyjnych oraz zarządcy przedsiębiorstw gospodarczych. Tak budowała się słynna później machina biurokratyczna cesarstwa austriackiego.

Następca Fryderyka, jego syn Maksymilian II, nie wprowadzał już w księstwie głogowskim specjalnych innowacji, poza może, wydanym dla Polaków przywilejem na cztery jarmarki rocznie (w poniedziałek po Trzech Królach, w poniedziałek po Zielonych Świątkach, w dniach św. Judy i św. Szymona). Dla Głogowa był to jednakże okres upamiętniony wielkimi epidemiami, szczególnie w latach 1521, 1567, 1568, 1571 i 1579. Tylko w czasie tej ostatniej miało umrzeć aż 5445 mieszkańców miasta (nie licząc wojska). Zapamiętano również wielką katastrofę budowlaną, a mianowicie zawalenie się ściany szczytowej kolegiaty i konieczność rozebrania grożącej runięciem górnej części wieży kościoła parafialnego. Wybuchły wielkie pożary: w 1565 r. na Polskim Przedmieściu, w 1573 r. na Dolnym Rynku, w 1574 r. na Przedmieściu Brzostowskim. W 1574 r. zniszczeniu, na skutek braku konserwacji, uległ zamek królewski, którego część została podmyta przez Odrę. Były to jednak w owych czasach sprawy normalne,

traktowane przez mieszkańców jako rzecz nieunikniona, związana z ludzkim życiem.

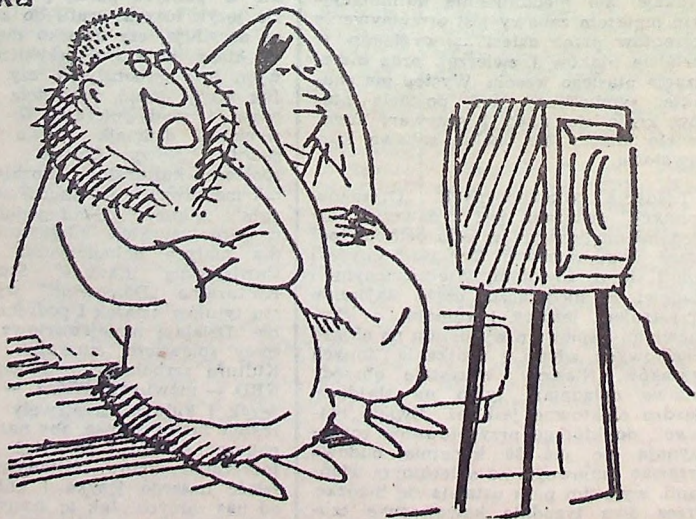
W okresie panowania Maksymiliana żył i działał w Głogowie znany lekarz (fizyk miejski), a przede wszystkim jego historyk i kronikarz Joachim Cureus — autor między innymi roczników ludu śląskiego, wydanych w Wittenberdze w 1571 r. Propagator germańskości ziem śląskich, ale też i ten, który zanotował i przekazał nam wiele faktów historycznych związanych z dziejami Głogowa. Posadzony o kalwinizm miał zresztą ciężkie życie w większości luteraniskim wówczas mieście. Z jego antypolskimi wywodami ostro polemizowali ówczesni historycy polscy Marcin Kromer i Maciej Strykowski. Ten ostatni napisał nawet w swojej kronice: „Ślązacy, którzy byli i teraz mogliby słusznie być prowincją Królestwa Polskiego, bo z początków swoich, jako się z Polaków rozmnożyli, tak też ku Polsce należą. A wdy ich jakiś Cureus śmie wywodzić z rajszych ogrodów poetów zmyślonych... A miasta ich od polskich książąt, co jasnie każdy wie, zbudowane i polskimi imionami nazwane, inaczej sprośnym sfalszowaniem przechrzcił... aby nie Śląsko z Polską nie miało”. A Marcin Kromer nie wahał się nawet nazwać go „oszczercą narodowości polskiej”. Zupelnie inaczej niż Cureus myślał i działał inny słynny historyk wywodzący się z Głogowa, Joachim Pastorius, o którym jednak napiszemy osobno.

Czasu następcy Maksymiliana, Rudolfa II to znowu wojny z Turcją a więc ciągłe potrzeby pieniężne cesarza, który w 1598 r., sprzedał gminie Polkowice dobra należące do komory cesarskiej za 16 tysięcy talarów. W Głogowie powstają wówczas pierwsze znane księgarnie należące do Kaspra Schweffera i Jana Knote i pierwsza drukarnia Joachima, a później Wiganda Funcka (czynna w latach 1606—1634), w której swoje liczne dzieła drukował między innymi przeor klasztoru dominikańskiego w Głogowie Jan Paweł z Czarnkowa. Jak pisze dziełnastawie historyk miasta „na okres panowania Rudolfa przypada zmiana całej doby na dwa razy po dwanaście godzin” (zamiast dawniej, dwudziesto-czterogodzinnej metody liczenia czasu). Wprowadzono również wtedy kalendarz gregoriański, na skutek czego trzeba było „opuścić” dziesięć dni.

Wszystko to jednak działo się w atmosferze ciągłych waśni i sporów religijnych, przybierających niejednokrotnie dla mieszkańców miasta tragiczne skutki. O tym jednak napiszemy już w następnych odcinkach.

—MYŚLĘ, ŻE ŁATWIEJ BYŁO BY O WEGIEL, GDYBYŚMY GO NIE MIELI...

Juika



Sopot '86

Żadam satysfakcji

Jerzy J. Kaczmarek

Wymyśliłem sobie takie pojęcie robocze: folklor dziennikarski. Chodzi tu o wszelkie zwyczaje i obrzędy, praktykowane wobec akredytowanych dziennikarzy na różnych imprezach. Może to być — dla przykładu — strip-tease po koncercie, w trakcie konsumowania płatków ziemniaczanych z serem. To w Opolu, gdzie stripteaserka czekała do zakończenia koncertu w amfiteatrze, by uraczyć żurnalistów wracających do hotelu. Bardzo pięknie kwitnie też folklor dziennikarski na festiwalu w Sopocie. Weźmy ubiegły rok. Wątpię czy ktoś pamięta jeszcze nazwiska laureatów, ale na pewno w kadrze żurnalistycznej tkwi wdzięczna pamięć dwóch imprez: nocnego pikniku połączonego z pieczeniem barana, na konto TSA (ponoć niektórzy wracali z tego lasu na trzy dni po zakończeniu festiwalu) i konferencja prasowa pewnego uroczego Holendra, który dziennikarzy zaprosił, a potem kazal korzystać z barku hotelu „Marina” na swój — holenderski — rachunek.

Bardzo piękne to były imprezy, ale — z samym festiwalem niewiele mające wspólnego. Dlatego też postanowiłem w tym roku uznać wyższość żagłówki nad Bursztynowym Słowikiem a całosc obejrzeć w TV color, zwłaszcza że szło na żywo. Z późniejszych relacji kolegów wiem, że folklor kwitł tradycyjnie (picie piwa na „Darze Pomorza” czy na „Zawiszy”), relacjonujący nie był pewien nawy, ale w każdym razie jakiś żagłowiec. No cóż. Człowiek to zwierzę towarzyskie. A gdy jeszcze napite i najedzone, to i impreza wydaje mu się wdzięczniejsza niż jest naprawdę.

★

Wyznam od razu — byłem zaskoczony znacznie wyższym niż tradycyjny poziomem całosci. Praktycznie były tylko dwa ewidentne kikszy: okropnie fałszująca Bułgarka i koszmarnie kiczowaty kwartet z Włoch. Nie wiem jakie związki łączą z Polską pana River-Strzeleckiego, który nam MILK and COFFEE zapuścił, ale że nie wszystko jest jasne i czyste, to więcej niż pewne. Zresztą — ten sam menadżer nam onego czasu zapuścił przystojniaka nikiemnego wzrostu czyli Marka Antonellogo. Tyle tylko że Antonelli mieścił się w średniej klasie piosenkarstwa słonecznej Italii, a nasz tegoroczny kwartecik nie mieścił się nigdzie. Takie fałsze są dopuszczalne

jeynie pod koniec stypy, gdzie zwyczajowo pije się zdrowie nieboszczyka. A i dobor piosenki polskiej, choć świadczy o znajomości polskich realiów („Chalupy”) jednocześnie dowodzi smaku artystycznego, na poziomie ślimaka winniczka.

Dziwno mi też było w trakcie występu reprezentantki ZSRR. Co jak co, ale stamtąd zawsze przyjeżdżały siły autentycznie fachowe (zapewne nie wszystkim wiadomo, że Alla Pugaczowa występowała na wspólnych koncertach ze Stingiem, a w Szwecji nagrała fantastyczną płytę po angielsku) nie tylko wokalnie, ale i akrobatycznie (cudna Katia Surżikowa stojąca na głowie to widok nie tylko muzyczny, zapewniam).

Miałem też zastrzeżenia do wyglądu polowy fińskiego duetu MONROES. Dobrze, że transmisja wypadła po dobranocce, bo dzieci miałyby koszmarnie sny po ujrzaniu tego faceta.

★

To już taki odruch dziennikarski: siedząc przed telewizorem z kartką i długopisem. Pracowicie zaznaczam plusiki i minusiki. Potem je sumuję i wyciągam średnią. Jednak tym razem nie miałem wątpliwości. Na bardzo wyrównanym artystycznie tle lśniły dwie dziewczyny: Mara Getzi i Vikki Benkert. Zwłaszcza ta druga... Bo przeliczywałem tak znany przebieg jakim jest „Nie płacz Ewka” — jest, przynajmniej teoretycznie, niemożliwością. A Vikki wydobyła z utworu coś, czego nawet nie podejrzewałem: skargę autentycznego bluesa.

Natomiast Amerykanka... Głosowanie ośrodków TV było dla mnie szokiem, bom przywykłem do tego, że mój werdykt nigdy nie pokrywa się z oficjalnym. A tu — patrzcie państwo! — stuprocentowa jednomyślność.

Jak — na tym tle — wypadły nasze reprezentantki? No cóż... Beata dla tego występu zrezygnowała z korzystnego kontraktu w USA. To plus dla niej. Ale też zemdlił się na niej brak obcicia estradowego, bez zespołu za plecami. Nie pierwsza to wokalistka rockowa, która dotkliwie przekonała się, że śpiewanie z orkiestrą jest zupełnie czymś innym niż śpiewanie z sekcją rockową.

Na temat zaś Danuty Błażejczyk mam pogląd niesprecyzowany. Bo jest ona świetną technicznie wokalistką jazzującą. Natomiast szwankuje interpretacja tekstu. Pani Danuta dla efektownie brzmiącej frazy gotowa jest poświęcić najładniejszy tekst. A w piosence chodzi

jednak o umiejętne połączenie obu elementów.

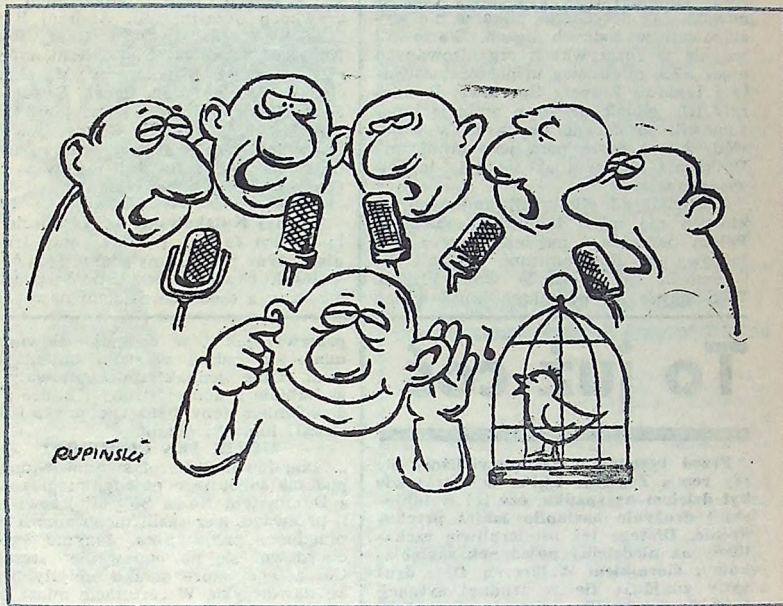
★

Konferansjerka... Od lat temat do dziennikarskich ujadów. I już przywykłem, że gdy tylko w rozmowach prywatnych zaczyna się spicz o festiwalach, to jak bumerang powracają dwa nazwiska: Dziedzic i Kydryński. To była niepowtarzalna para. A w tym roku? Zaskoczył mnie red. Raczek, którego nie lubię, bo zdarza mu się zabierać głos na tematy, o których nie ma bladego pojęcia. Ale tu wybrnął z godnością i ze smakiem. Zanotowałem tylko dwie mało znaczące wpadki: pierwsza to pukanie w mikrofon, które u każdego akustyka wyzwała natychmiastową chęć krwawego mordu. No i ta odzywka, która już przeszła do annałów satyry: „Nie będę państwa zamęczał swoją erudycją”. To bardzo cenne, tylko po co zaraz podkreślać, że konferansjer jest mądrzejszy od widowni. Ale i tak red. Raczek wypadł olśniewająco na tle red. Jęfremienki. Ten ostatnio męczył się bardzo, bo też jest bardzo męczące, gdy wiadomo że trzeba coś powiedzieć, tylko diabeł wie, co. O paniach nie będę nic mówił, bo od paru lat panie są jedynie dodatkiem do prowadzących panów.

★

Zaproszeni goście. Miałaby być Jennifer Rush, czyli — jak to zabawnie przekreślono w radiu — Renifer Już. Niestety, Natomiast przyjechała Bonnie Tyler, która mnie mile zaskoczyła, bo Rod Stewart w spódnicę wygląda śmiesznie. Jej nowe piosenki spowodowały, że odwołuję tę opinię.

Karel Gott to — dla mnie!!! — kompletna lodówka. Spóźniony Elvis Presley.



Nowości Tonpressu

PLITY DŁUGOGRAJĄCE

SX-169 DEPECHE MODE — THE SINGLES 81-83. Kolejny przykładał solaniej, ażnawosci solidnej firm. O grupie roznie się mówi, lecz ma ona swoich zagorzałych zwolenników wśród polskich fanów, szczególnie po ubiegłorocznym tournée po naszym kraju. Spórą zaległ płytę jest jej świeżość; te przeboje jeszcze nie odeszły do lamusa historii. Najmniej sympatyczna jest cena: 690 zł.

SX-250 KAPITAN NEMO. Ten album dość długo czekał na wydanie, co można ocenić nawet po numerze kasetowym płyty. Ziołowi twierdzą, że opoznienie było spowodowane niesolidnością autora tekstów Andrzeja Mogielnickiego, który ociągał się z ich pisaniem. W każdym razie solowa płyta Bogdana Gajkowskiego (Kapitan Nemo to — rzecz jasna — pseudonim) nareście ujrzała światło dzienne. Cena 550 zł.

SINGLE

S-610 Violetta Villas — Wygrywamy/Calduj Boracio. Mundial za nami. Płyta zostaje jako ostatni kontakt artystyki z Niebiosami, które — jak wiadomo z wywiadu — poinformowały wykonawczynię, że nasi w Mundialu zwyciężają.

S-611 KINEO RA — Oblakany/Szczyry. KINEO RA to grupa powstała we wrześniu ub. roku. W listopadzie zespół zwyciężył w Młokotowskiej Jesieni Muzycznej, gdzie nagrodą był singiel dla TONPRESSU.

S-612 OMNI — Lania/Siy. Singiel jest pilotem dużej płyty, która ma się ukazać pod koniec bieżącego roku. Muzyka elektronicz-

na grupy OMNI zaprezentowana na wczesniejszym longu SAVITURU zyskała sobie wielu sympatyków.

S-616/617 REZERWAT — Zaopiekuj się mną./Boję się/Parasolki/Szare gitary (Podwojony singiel). O grupie REZERWAT i jej wokalistce Andrzeju Adamaku już w tym miejscu pisałem i na razie poglądów nie odwołuję, nawet po rozmowie z Andrzejem, przeprowadzonej w kulisach festiwalu w Opolu.

S-618 KULI — Filoci/Do Ani. Zwłaszcza drugi utwór, bardzo ostro lansowany przez Różową Hircerską, zbytnio mi przypomina krzywkę motywów przewodnich z „Różowej Pantery” i przypomina Jamesa Bonda. Po ich koncercie w Opolu, gdy usłyszałem więcej utworów, mam jednak cieplejsze uczucie. To może być nietuzinkowy zespół.

S-619 AZYL P. — Och, Alaluja/Nasz jedyny świat. Ciekawe, napierw Och, Lila a teraz Och, Alaluja. A po drodze Mała Maggie. Po pierwszej płycie LP jestem pełen jak najgorzszym przeczuciem. Jednak niektórzy mi mówili, że materiał na nową LP pt. „Na...” jest znacznie lepszy. Posłucham — zobaczę.

S-620 — ZANDER — Rotterdam/Positano. Piotrek Zander to jeden z niewielu polskich gitarzystów, którzy się zastanawiają PRZED! wypuszczeniem dźwięku w powietrze. On ule, że lepiej zagrać dwa dźwięki za mało niż dwa dźwięki za dużo. A swoją drogą, marzy mi się duet: Piotr Zander i Leszek Winder. I żeby obaj grali na Fenderach.

S-621 2+1 — Orły do boju/Trochę naćzelna wygrana. Orły już dostały po d... aż się pierze posypało. Płotka pozostała jako dokument naszych nieprzebranych ambicji i dowód ry-

zyka hanatowego. Podobnie jak zestaw męskich kosmetyków pt. MUNDIAL.

S-622. Martyna Jakubowicz — Zagle już nad ziemią/Rosalie. Trudno ukręć, że mam do Martyny sentyment. Ona potrafi wytworzyć niepowtarzalny i łatwo rozpoznawalny klimat a jest to dar nieczęsty. Z niecierpliwością czekam na jej album, który już został nagrany i niebawem powinien ukazać się w sklepach.

S-624 DZEM — Człowieku co się z tobą dzieje/Czerwony jak ogień. DZEM nadal pozostaje w mej cieplej pamięci, mimo że najlepszych nowych piosenek, przedstawionych w Jarocinie.

S-623 SUPER BOX — Biała dama niesie śmierć/Szkolne problemy. Red. Kiszakiewicz z „Panoramy” lubi tę kapelę. Ja mniej, gdyż mam niejasne przeczucie, że gdyby nie koniunkturalny kawałek ze str. A, zespół nigdy by nie wypłynął. Lecz z forsowaniem rady kalmiejszych opinii jeszcze się wstrzymam, by przedwcześnie nie krzywdzić kapeli.

S-625 Krzysztof Ścierański — Figiel z maklem/Blues na śledem ósmych. Tu nie ma co gadać — Ścierański jest wirtuozem gitary basowej i śmiechanie go to czysta (basowa) przyjemność.

S-626 Billy Ocean — When the Going Gets Tough, the Tough Get Going/Caribbean Queen. To pierwszy z efektów podróży Marka Proniewicza, artystycznego szefa TONPRESSU na MIDEM '86. Ponoć będą i następne, równie atrakcyjne.

S-627 FLOCK OF SEAGULLS — Who's that Girl/Hearthat I like a Drum. New Romantic do dyskotek. Nie gustuję w muzyce do muślenia nęmi. Ale w dyskotekach będzie to chodzić aż do zdarcia.

S-628 MADE IN POLAND. Nieskazitelna twarz/Jeńna kronla deszczu.

S-629 MADAME — Dzień narodzin/Krawat

On jest tak doskonale automatyczny, że chwilami przylapuję się na modlitwie: dobry Boże, żeby on choć raz się pomylił, żeby udowodnił, że jest człowiekiem a nie perfekcyjnie zaprogramowanym automatem do śpiewania. Rozbawiły mnie nieco transparenty na widowni, naprędce wykonywane (zapewne) przez TV — scenografa, co było widak po identycznym kroju czcionek. Zabrakło mi jednego: „Och, Mein Gott”.

O BAD BOYS BLUE trudno mi się ciepło wyrażać bo nastąpiło oczywiste pomylenie teatrów. BBB to typowa grupa disco, produkująca muzykę użytkową, której bardzo źle się słucha, gdy trzeba siedzieć na miejscu.

★

A tak w ogóle, pointując festiwal generalnie: mam wrażenie, że w tym roku cała impreza została zorganizowana tylko i wyłącznie po to, byśmy się wszyscy naocznie i na żywo przekonali, że Edyta Geppert i Michał Bajor to artyści co najmniej europejskiego formatu. Mam nadzieję, że ZPR-y, które tak głośno się obnoszą z patronatem artystycznym dla tej dwójki, wyciągną DALEKO idące wnioski. Żeby znowu się nie okazało, jak to zwykle u nas, że zadowala nas sama świadomość stanu posiadania. Bo dobry artysta jest towarem dokładnie takim samym, jak obrabiarki czy szynka w puszcze. To trzeba umieć dobrze sprzedać. W końcu taka jest idea tego festiwalu. Lecz nie umiem podać przykładu z przeszłości; bodaj jednego nazwiska, które sprzedałoby i goźdowie i dla naszej — lokalnopatriotycznej — satysfakcji.

Karel Gott to — dla mnie!!! — kompletna lodówka. Spóźniony Elvis Presley.

zyka hanatowego. Podobnie jak zestaw męskich kosmetyków pt. MUNDIAL.

powieszony w laźni. Obie grupy z tzw. „stajni Chciwostkiego” przynajmniej do niedawna. Prezentują najniższą jakość, jaka była grana kiedykolwiek w Polsce. To na pewno nie jest muzyka rozrywkowa. Zwolennicy JOY DIVISION bez wątpienia mnie rozumieją. Tu trzeba myśleć.

S-630 DEPECHE MODE — Stripped/But Not Tonight. To nowe nagrania DM, nie pokrywające się z poprzednio wspomnianym albumem.

S-631 LORD VADER — Inna twarz/Laknienie ciała. Bydgoska grupa heavy metalowa. Dala się szerzej poznać, choć bez większego echa w tegorocznym Jarocinie.

KASETY

Serdence polecam wszystkim fanom kasetę PO-076 pt. „Cwiczenia fizyczne po przebytym zawałcie serca”. W związku z opisującym przebieg moim rozbojem podatkowym, TONPRESS zawiesił produkcję kaset muzycznych, koncentrując się na bajkach dla dzieci i zawałowcach.

★

I na koniec informacja optymistyczna ale nie z TONPRESSU lecz z wytwórni... BALKANTON. Oto w Ośrodku Bułgarskim już jest a w naszych sklepach niebawem będzie do nabycia, pierwsza w krajach socjalistycznych reedycja nagrań Elvisa Presleya. Niechlujna edytorsko (brak dat nagrań i nie logiczny układ piosenek) lecz przyzwoicie nagrana, zawiera 16 utworów, w tym 14 niekwestionowanych hitów, takich jak: „Blue Suede Shoes”, „Love Me Tender”, „In the Chair”, „Suspicious Mind”, „Return to Sender” czy przebój przeboju „Heartbreak Hotel”. A swoją drogą — niestety się nie małom doczytać informacji, od kogo BALKANTON kupił licencję. W tym momencie przypomniał mi się pertraktacje POLSKICH NAGRAN — z jak się okazało — piratami. Ale nieważne. Już dziś radzę rozpocząć uwodzenie pań ekspedientek.

Gmina leży na peryferiach województwa legnickiego, tuż obok ruchliwej trasy do Zielonej Góry. Dawny powiat glogowski. Jej stolica (tak samo jest z pozostałymi w tym rejonie) — Gaworzyc — prezentuje się okazale. Wieś czysta, schludna, zadbana — widać po prostu gospodarską rękę. Jak przystało na gminną metropolię, znajdują się tu różne przedsiębiorstwa i instytucje, a także dobrze rozbudowana sieć placówek handlowych. Ich prezentacji nie dorównuje miejscowa szkoła podstawowa. Ale o tym później.

Gaworzycy znane są w województwie, ale mało kto o nich słyszał poza jego granicami. Tak było do niedawna. Ostatnio jednak miejscowość stała się głośniejsza i trafiła nawet na łamy prasy ogólnopolskiej. Skąd taka nagle metamorfoza i kto jej dokonał? Można by się zdziwić, że „sprawcami” tego zainteresowania okazali się młodzi (rocznik 1971 i młodszy).... piłkarze. Zachciało im się wystąpić w popularnym turnieju telewizyjnym „Piłkarska kadra czeka”. No i ni stąd, ni zowąd zrobili w nim dużą karierę, i w efekcie zajęli, w centralnym finale, czwartą lokatę. Tego naprawdę nikt się nie spodziewał. Przejrzeli jednak do szczegółów.

Od dwóch lat działa SKS-LZS „Byskawica”. Połączenie pionu szkolnego ze sportem więksim było celowym posunięciem. Łatwiej przecież o uzyskanie niezbędnych środków i zakup sprzętu. Sama szkoła niczego by nie zrobiła. Jest przecież wielką placówką i uczęszcza do niej tylko 296 uczniów. Z grupy tej 52 należą (klasy IV—VIII) do SKS-LZS i występują w zespole piłkarskim oraz piłki ręcznej dziewcząt i chłopców. Ich opiekunem jest nauczyciel wychowania fizycznego, a zarazem przewodniczący Rady Gminnej LZS, Franciszek Chocianowski. Jak dotychczas piłkarze nie występowali w żadnych ligach. Startowali jedynie w rozgrywkach organizowanych przez SZS, miejscowego inspektora oświaty i Ludowe Zespoły Sportowe. Rozpieściły ich jednak sportowe ambicje i postanowili spróbować swych sił w województwie, a może poza jego granicami. Doskonała ku temu okazja była telewizyjna akcja.

Zaczynali od eliminacji gminnych, w których nie mieli żadnych problemów. Potem podrejon i najcięższy mecz wyjazdowy z Radwanicami. Wygrali 2:1 i znaleźli się w finale wojewódzkim. W Ścinawie nie oddali punktu i w ten

sposób zakwalifikowali się do rozgrywek strefowych makroregionu dolnośląskiego w Rawiczu. W decydującym o pierwszym miejscu pojedynku pokonali 2:0 grającą w lidze wojewódzkiej Slegę Wiry (reprezentant Walbrzycha) i w ten sposób znaleźli się w gronie ośmiu najlepszych drużyn w kraju. Właśnie dla tej ośmiu ufundowano specjalne zgrupowanie w znanym ośrodku Igłopolu w Straszynie koło Dębicy. Zebrało się tam 112 zawodników z całego kraju. Odbływały się treningi, a ponadto rozegrano spotkania eliminacyjne. Drużyny podzielono na

gwie miejsce w wyścigu na rowerach wodnych.

Roman Urbaniak: — Mecze rozgrywałyśmy na dobrze przygotowanych boiskach. Podejmowano nas bardzo gościnnie, a co najważniejsze, mogliśmy się bardzo dużo nauczyć.

Tomasz Szulc: — Mieszkaliśmy w ładnych domkach campingowych. Dla nas jednak najważniejszy był mecz z Kłucami. Bardzo chcieliśmy go wygrać, a przegraliśmy aż 1:4. Niepotrzebnie straciliśmy drugą bramkę i to nas załamało.

Dzielnicy z Gaworzyc

Zygmunt Kuszc

dwie grupy. Dzielnicy chłopcy z Gaworzyc pokonali najpierw LKS Raszewo (Kalisz) 3:1, a potem LKS Parzew (Biała Podlaska) 2:1. W decydującym o pierwszym miejscu meczu przegrali 1:4 z ZKS Kłucze (Katowice). Zostali wicemistrzem grupy i walczyli o brązowy medal. Trafił na LKS Lech Czaplinek (Koszalin) — czołową drużyną województwa więc i przegrali aż 0:7. Musieli więc zadowolić się „dopiero” czwartym miejscem w kraju.

Pobyt w Straszynie pozostawił na chłopcach duże wrażenie. Zajęcia prowadził trener Stanisław Tymowicz, a asystowali mu Jerzy Witkowski, Zbigniew Pawłowski i Władysław Łesiejko. W zajęciach tych i poprzednich rozgrywkach uczestniczyli: Andrzej Rygiel, Czesław Kocik, Ryszard Gaik, Robert Kobylec, Arkadiusz Słota, Roman Urbaniak, Tomasz Kulakowski, Marek Michałak, Jacek Pałac, Jacek Szwagrzyk, Jacek Szulc, Mirosław Błażejowski, Tomasz Szulc i Ryszard Chudy. Jak dziś wspominają zajęcia były trudne, uciążliwe, ale pobyt uważają za wspaniały. Oddajmy im zresztą głos:

Tomasz Kulakowski: — Na obozie było bardzo fajnie. Treningi były trudne, ale z tym musieliśmy się pogodzić. W wolnych chwilach przyjemnie spędzaliśmy czas, a obościście zajmaliśmy nawet dru-

żyny. Treningi były oczywiście intensywne. Zajęcia odbywały się trzy razy dziennie. Poznaliśmy jednak smak wyczynowej piłki nożnej.

Czesław Kocik: — W finale wystąpili bardzo silne drużyny i ciężko się z nimi grało. Dawaliśmy wszystko z siebie i zrobiliśmy to, na co nas było stać. Inni okazali się lepsi.

— Czwarte miejsce w turnieju — mówi Franciszek Chocianowski — powinno nas satysfakcjonować. Mnie obościło cieszyć jeszcze inne sprawy. Po obozie trenerzy wybrali 50 najlepszych, którzy będą nadal centralnie szkoleni. Z tej grupy wyłoni się 20-osobowa kadra, która na Wielkanoc pojedzie na turniej w Wielkiej Brytanii. Znalazło się w niej siedmiu moich: Rygiel, Kobylec, Urbaniak, Kulakowski, Jacek Szulc, Szwagrzyk i Pałac. Chłopcy zdobyli także dwie złote (Szwagrzyk i J. Szulc) i trzy srebrne (Kulakowski, Urbaniak i Tomek Szulc) młodzieżowe odznaki PZPN, które obościście wręczał prezes Edward Brzostowski.

— Występy w poddębickim ośrodku — kontynuuje Józef Chocianowski — wywołały duże zainteresowanie w Gaworzycach. Mówili nawet o nich kobiety czekające w kolejkach sklepowych. Nic w tym dziwnego, gdyż w gminie panuje dobra atmosfera wokół sportu. Naszymi poczynaniami interesują się na co dzień dyrektorzy szkół An-

na Sipa, gminny inspektor oświaty, Edward Łukasik, nasz opiekunka w gminie Krystyna Hajduk i oczywiście władze polityczne i administracyjne. Dużym pomocy udzielają nam GS, Bank Spółdzielczy, PGR i SKR, a po pierwszych sukcesach dużo pomogli nam RW LZS, ZW SZS, OZPN i glogowski Chrobry. Mogliśmy się ładnie ubrać, posiadamy dresy, piłki i inny sprzęt. Na centralnym obozie chłopcy dobrze się prezentowali i nikt nie mógł powiedzieć, że przyjechali z jakichś tam Gaworzyc. Tak więc udało się stworzyć dobrą atmosferę. Ale co będzie dalej? Większość chłopców przekroczyła regulaminowy wiek i nie będzie mogła startować w kolejnej edycji turnieju. Kobylec gra już w naszej drużynie seniorów, Jacek Pałac w LZS Wierzbowa, Jacek Szulc uczy się w Technikum Elektronicznym w Zielonej Górze i występuje w miejscowej Lechii, a Szwagrzyk jest uczniem Technikum Hutniczego w Głogowie i chyba niebawem znajdzie się w Chrobrym. Trzeba będzie zaczynać od nowa. Chętnych nigdy nie brakowało, a talentów też jest dużo. Jestem więc dobrej myśli.

Sukces piłkarzy z Gaworzyc jest tym większy, że uczą się i trenują w fatalnych warunkach. Szkoła nie ma własnej sali gimnastycznej i posiada tylko boiska do siatkówki oraz piłki ręcznej. Ponadto może korzystać z boiska i szatni miejscowego koła LZS. Jak zapewniali władze gminne, sytuacja ta ulegnie radykalnej poprawie w najbliższych latach. W dniu naszej wizyty naczelnik gminy — Lech Bika — wyjeżdżał do Zielonej Góry, aby ostatecznie dopiąć sprawy dokumentacji. Będzie się bowiem budować nowa szkoła i to wraz z salą gimnastyczną. Zlecenie wykonania obiektu przyjął legnicki PBRol, a całość zamknie się kwotą 220 mln złotych. Wybuduje się oczywiście salę o wymiarach 15x30 metrów. Cały obiekt zlokalizowano tuż przy większym boisku sportowym. Tak więc w przyszłości powstanie tu ładny kompleks sportowy, na który czeka się już od 14 lat. Będzie więc odpowiednia baza i należy się spodziewać, że stanie się ona motorem dużego rozwoju gaworzyckiego sportu. Dobry początek zrobili młodzi piłkarze. W ślad za nimi pójdą z pewnością ich koleżanki i koledzy, a o osiągnięciach Gaworzyc usłyszymy i napiszemy nie jeden jeszcze raz.

To już coś

Przed tygodniem zastanawialiśmy się czy remis Zagłębia Lubin w Warszawie był dziełem przypadku, czy też w lubińskiej drużynie nastąpiło jakieś przebudzenie. Dlatego też niecierpliwie czekaliśmy na niedzielny pojedynek zagłębianów z Górnikiem Wałbrzych. Obie drużyny znajdują się w trudnej sytuacji i każdy punkt liczy się na wagę złota.

Nie dziwnego, że do niedzielnego meczu podopieczni Grzegorza Szerszenowicza i Stanisława Świerka staneli z duża wola walki i zamiarem uzyskania jak najkorzystniejszego rezultatu. Zyskało na tym lubińskie widowisko. Mecz nie stał wprawdzie na najwyższym poziomie (daleko mu do pojedynków Górnik Zabrze z Legią i Widzewa z GKS Katowice), ale mógł spodobać się dziesięciotysięcznej widowni. Przez prawie 90 minut obserwowaliśmy szybką i zaciętą walkę. Obie strony prowadziły otwartą grę i popisywały się częstymi kontratakami. A to przecież najbardziej podoba się kibicom. Lubinianie odnieśli zasłużone zwycięstwo, choć nie przyszło im ono zbyt łatwo. Fakt jest faktem, Zagłębie zdobyło dwa punkty i awansowało na 11. miejsce w tabeli. Dato się zauważyć, że drużyna otrzaskała się z poprzednich niepowodzeń i zaczyna wierzyć we własne siły. To właśnie może zaważyć na dalszych losach lubinian w piłkarskiej ekstraklasie.

Pojedynek zaczął się niezbyt przyjemnie dla gospodarzy. Już w pierwszej minucie goście objęli prowadzenie. Po centrze Małachowskiego Truszczyński nie dał żadnych szans Koszarskiemu. Duża konsternacja i cisza na trybunach. Górnicy postanowili pójść za ciosem i przeprowadzić groźne ataki — w 11 minucie Warzycha nie wykorzystał dogodnej sytuacji, a w pięć minut później w jego ślady poszedł Śmietaniński. Gospodarze jakoś się otrząsnęli i zaczęli śmiało atakować. W 24 minucie Ptak strzelił minimalnie obok słupka. W minutę później było już 1:1. Kowalski dokładnie dośrodkował, a nadbiegający Stelmasiak strzelił głową. Piłka trafiła w słupek, uderzyła w plecy bramkarza gości Grzywacza i wylądowała w siatce. Fakt ten poderwał do walki piłkarzy gospodarzy i w ten sposób w 32 minucie było już 2:1. Po ładnej akcji lubinian piłkę przejął Gierzejewicz. Nie zastanawiał się ani na moment. Strzelił bardzo silnie (z około 18 metrów) i piłka wylądowała w dolnym, lewym rogu bramki Grzywacza.

Od tego momentu gra nadal była żywa i interesująca obie strony przeprowadzały liczne i groźne ataki. Zarówno do

przerwy, jak i w drugiej połowie nie udało się żadnej ze stron zmienić wyniku. Obie jednak zaprezentowały się w Lubinie z dobrej strony i kibice z zadowoleniem (oby było tak zawsze) opuścili lubiński gigant.

GDZIE TEN CHROBRY?

... skandowała czterotysięczna widownia podczas sobotniego pojedynku glogowian z Dozametem Nowa Sól. Miejscowi mieli przewagę, lecz razili nieporadnością na przedpolu przeciwnika. Jedynie Prokop decydował się na oddawanie strzałów. Cóż z tego, skoro daleko omijały bramkę Pawlaczyka. W rezultacie miast zwycięstwa gospodarze musieli się zadowolić bezbramkowym rezultatem.

Po sobotnim meczu Chrobry znalazł się w bardzo niekorzystnej sytuacji. W sześciu spotkaniach zdobył zaledwie trzy punkty i zajmuje dopiero przedostatnie, 15. miejsce w tabeli. Czas najwyższy ocknąć się z letargu. Zwłaszcza że przed glogowianami dwa trudne mecze wyjazdowe. Muszą zrobić wszystko, by wypaść w nich jak najkorzystniej, gdyż później może być bardzo ciężko z utrzymaniem się w II lidze.

...I MIEDZ?

W niedzielne popołudnie wielotysięczna rzesza legnickich zjawiała się na stadionie miejskim. Chciała obejrzeć interesujące widowisko — spotkanie gospodarzy z Kryształem Stronie Śląskie. Podopieczni Władysława Morocha dobrze spisali się w dotychczasowych spotkaniach III ligi i byli wiceliderem, ustępując jedynie niedawnemu II-ligowcowi Zagłębiu Wałbrzych. Tym razem, niestety, zawiedli wszystkich i... przegrali 1:2 (bramkę dla gospodarzy zdobył z rzutu karnego Pięrończyk, a dla gości oba gole strzelił Turoń). Czyżby wracali do dawnych tradycji, kiedy to dobrze spisywali się na wyjazdach, a zawodzili przed własną publicznością? Jedno jest pewne, że z grą pokazaną w niedzielę nie mogą myśleć o zajęciu czołowego miejsca w swej grupie.

Znacznie lepiej zaprezentowała się jaworska Kuźnia, która tym razem zmierzyła się — na wyjeździe — z Pafawagiem Wrocław. Jaworzanie wygrali ten pojedynek 2:1 (bramki zdobyli Skowron i Pawlus) i w rezultacie awansowali na drugie miejsce w tabeli. Brawo!

Już w niedzielę, 21 września, kolejne emocje. Zagłębie Lubin (rodz. 10) podejmie Śląsk Wrocław. Chrobry wyjeżdża do wrocławskiej Slegy. Miedź do Victorii Wałbrzych, a Kuźnia (rodz. 12) podejmie liderujące Zagłębie Wałbrzych.

(Sig)

Udał się festyn

Wielkim festywnym uczczono dwudziestolecie Legnickich Zakładów Mechanicznych „Legmet”. Całodniowy program przygotowały zakładowe ognisko TKKF „Legmet” i dział socjalno-bytowy. W minioną sobotę stadion przy ulicy Złotyryjskiej zaroził się od pracowników „Legmetu”, ich rodzin i wszystkich tych, którzy chcieli wypocząć uczestnicząc w wieloboju indywidualnym i rodzinnym i tych, którzy mogli zaopatrzyć się w stoiskach kiermaszowych przygotowanych przez PZG, WPHW i KMPiK.

Największym jednak rowodzeniem cie-

szyla się loteria, w której co drugi los wygrywał. A były trofea nie lada: od radiomagnetofonu po płyty Michaela Jacksona. Dochód z gry — 100 tysięcy złotych przekazany zostanie na książeczkę mieszkaniową dla wychowanka Domu Dziecka w Gólanie.

Duże brawa dwutysięcznej widowni zebrały zespoły: Pieśni i Tańca „Legnica”, „Aerobic” z „Elpo” w Lubinie i kabaret „B-complex”. Szkoda, że imprezy trwały jeden dzień.

(p)



Fot. Wincenty Kołodziej

Kioski „Ruchu”, zwłaszcza te usytuowane na peryferyjnych ulicach miast, zawsze stanowiły dużą pokusę dla złodziejasków różnego automatu. Różnorodność towarów i niewyszukane zamknięcia przyciągają szczególnie młodocianych przestępców i włamywaczy debiutujących „w zawodzie”.

W nocy z 1 na 2 kwietnia tego roku włamano się w Legnicy do dwóch kiosków: przy ul. Neptuna i Wrocławskiej. Funkcjonariusze RUSW w Legnicy, już po kilku dniach od rozpoczęcia dochodzenia, trafili na pasera sprzedającego kradziony towar. Od niego do włamywaczy był już tylko jeden krok. Prędko też okazało się, że mają oni na swym koncie nie tylko te kwietniowe włamania...

CHARAKTERY

27-letni Marcin P., chociaż jest już głową rodziny o modelu 2+3, nie zdążył jeszcze wyuczyć się jakiegokolwiek zawodu. Zrozumiał, że ten brak zawodowych kwalifikacji poważnie utrudnia mu życie, zwłaszcza że aspiracje miał spore.

W sierpniu ubiegłego roku, gdy zwolnił się z pracy w prywatnej firmie budowlanej, i on, i jego rodzina (żona nie pracuje), zostali praktycznie bez środków do życia. Twierdził teraz, że do listopada bezskutecznie szukał pracy i „niczego w swoim zawodzie nie mogłem znaleźć”. Jak to możliwe, skoro wydział zatrudnienia niezmienne dysponuje setkami skierowań? Po prostu Marcin P. miał wysokie wymagania i na wszystkie propozycje kręcił nosem... Zaczął pracować dopiero 21 listopada ub. r. jako pracownik przeładunkowy w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Chłodniczego w Legnicy.

Gwoli prawdy trzeba przyznać, że przez pięć miesięcy, jakie zdążył przepracować, zarobił sobie na zupełnie dobrą opinię. Nic dziwnego, że wielu jego kolegów nie mogło uwierzyć, że Marcin P. w pewnym sensie prowadzi podwójne życie — w dzień pracuje uczciwie i solidnie za 21 tysięcy miesięcznie, a w nocy...

26-letnia Krystyna E. miała w życiu prawdziwego pecha. Rozpadło się jej pierwsze małżeństwo i została na jakiś czas sama z córeczką. Potem zadowolili się konkubinatem, mimo że na świat przyszły kolejne córeczki. Z sobie tylko znanych powodów ta fryzjerka z zawodu wołała pójść pracować do Chłodni Składowej w Legnicy przy mrożonkach. Lubiano ją. Była pracowita i koleżeńska. Po urodzeniu najmłodszego dziecka wzięła urlop wychowawczy. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie pech, który ją prześladował. Ojciec dwóch najmłodszych dziewczynek znalazł się w zakładzie karnym i Krystyna została sama z trójką dzieci i miesięcznym dochodem dwanaście i pół tysiąca.

Coraz częściej zaczęła myśleć o tym, jak dorobić parę złotych... I wtedy właśnie przypomniała sobie, że kioskarką z ulicy Złotoryjskiej (za przejściem podziemnym) skupuje towar pochodzący z włamań do kiosków...

POROZUMIENIE

Mieszkalni po sąsiedzku i bardzo przedko obie rodziny połączyła bliższa zażyłość. Wpadali do siebie wzajemnie na kawę, na kieliszek czegoś mocniejszego... Prowadzili przy tym długie rozmowy, nie odbiegające tematami od tych, jakie toczą się w większości polskich domów — o brakach w sklepach, o rosnących cenach, o tym, że nie wystarczy pieniędzy na wszystko, co człowiek chciałby mieć.

Wieczorem, 15 listopada, kiedy Marcin P. wstąpił do Krystyny E. z sąsiedzką wizytą, znów rozmawiali przede wszystkim o kłopotach finansowych. Popijali alkohol i narzekali na brak pieniędzy. I właśnie wtedy Krystyna E. zaproponowała rozwiązanie, które miało zapewnić im przyływ gotówki, a tym samym dostateczniejsze życie. Marcin P. nie protestował, mimo że do tej pory ani razu nie wszedł w kolizję z prawem. Włamać się do kiosku „Ruchu”? Czemu nie! To przecież całkiem proste, tym bardziej że Krystyna E. ma nabywcę na towar, który ukradną.

Rozstali się po to, aby spotkać się o pierwszej w nocy koło kiosku „Ruchu” przy ulicy Głogowskiej. Marcin P. znalazłszy na budowie mostu prętem zbrojowym urwał dwie kłódki zamykające drzwi wejściowe i wszedł do kiosku. Krystyna E. stała „na czujce”, na skrzyżowaniu Bagiennej z Głogowską. Nikt ich nie spłoszył. Marcin P. spokojnie spakował do reklamówek bilety autobusowe, pocztowe znaczki, widokówki, długopisy... Bez zbędnego pośpiechu zanieśli wszystko do mieszkania Krystyny.

Następnego dnia rano całkowitą inicjatywę przejęła w swe ręce Krystyna I — zgodnie z jej zapewnieniami — wszystko poszło gładko. Razem poszli do kiosku

przy Złotoryjskiej. Tam Krystyna bez problemu przeprowadziła transakcję ze sprzedawcą — Bogusławem Z. Jeszcze tego samego dnia otrzymała 50 tysięcy za dostarczony towar wartości blisko 143. Podzieliła się z Marcinem P. po połowie. Na kolejne włamanie dobrała para wybrała się nocą z 1 na 2 kwietnia tego roku. Tym razem Marcin P. przyniósł ze sobą toporek, którym zapewne wygodniej było mu urwać kłódki zamykające kiosk przy ul. Neptuna. Podobnie jak poprzednio, tak i tym razem Krystyna E. pilnowała, aby nikt ich nie za-

Komitetu Pracowniczego), sumienny i zdyscyplinowany pracownik, nie potrafił oprzeć się pokusie łatwego zarobku. Każdy „dostawca” był przez niego mile widziany i żadnego z nich nie odesłał z kwitkiem, choć wiedział, że towar pochodzi z włamań do innych kiosków...

W spokoju ducha handlował potem kradzionym towarem, różnicę między faktyczną wartością a ceną, jaką płacili złodziejom, chowając do własnej kieszeni. Pewnie i gubił się trochę w tych rachunkach, któregoś dnia bowiem zbyt dużo przełożył do własnego portfela i przy przypadkowym remanencie stwierdzono u niego kilkudziesięciotysięczne manko...

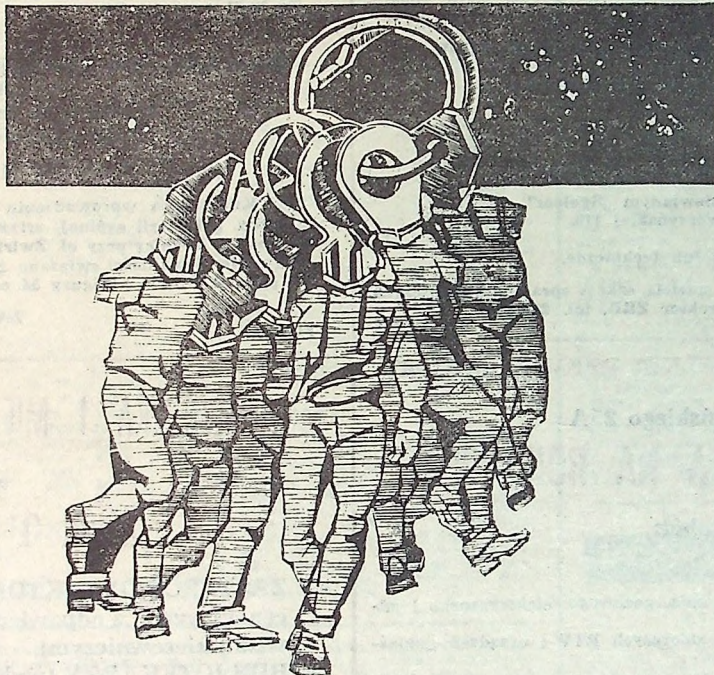
Bogusław Z. kluczył w śledztwie, jak mógł i pełno było w jego coraż to zmienianych zeznaniach „nieznanych młodych mężczyzn” i „nieznanych młodych kobiet”. Mimo tych krętałów, z zebranych dowodów jasno wynika, że Bogusław Z. systematycznie kupował kradziony towar i nabierało się tego na 640 tysięcy zł.

UNIKNAĆ SPRAWIEDLIWOŚCI?

Trudno się właściwie dziwić, że próbowali wybielić się w śledztwie także

Włamywacze

Anna Borska



skoczyć. I znów mieli szczęście — wokół nie było żywego ducha. Odeszli unosząc ze sobą dwie wypchane torby reklamowe, a za sobą zostawiając podpalony przez Marcina P. kiosk...

Lup ukryli na cmentarzu, a sami postanowili jeszcze raz „popracować” tej nocy. Następnym obiektem ich zainteresowania stał się kiosk przy Wrocławskiej. Poza typową kioskową drobnicą zabrali stąd także proszki do prania. Lup z obu włamań (wartość 380 tys. zł) przenieśli do mieszkania Krystyny E.

Nazajutrz wszystko dostarczyli Bogusławowi Z. Widać nie chcieli ryzykować skoro tym razem odwiedzili sprzedawcę „Ruchu” nie w kiosku, ale w domu. Szybko przystali na warunki, jakie dyktował Bogusław Z.: 180 tysięcy złotych płatne w trzech kolejnych, równych ratach. I pewnie w tym nieuczciwym procederze panuje obowiązek bezwzględnej... uczciwości, skoro po kilku dniach Marcin P. otrzymał od Bogusława Z. pierwszą ratę. Do wypłaty następnych już nie doszło...

PASER

W wyniku śledztwa, prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Legnicy, okazało się, że Bogusław Z. ma na swoim koncie więcej tego typu transakcji. Ow 55-letni sprzedawca, cieszący się zaufaniem środowiska (delegat Zakładowego

Marcin P. i Krystyna E. Najpierw były spory, co do tego, kto był projektodawcą nocnych wypraw. Później oboje wprowadzili do swoich zeznań Cyganek — sprawczynię i główną animatorkę poczyznań. Potem Marcin P. po prostu uciekł konwojującemu go funkcjonariuszowi. Po kilku godzinach sam jednak doszedł do wniosku, że ucieczka nie popłaca i... wrócił. Dlaczego uciekł? Bo go do tego namówił sąsiad z celi.

Krystyna E. wysłała z zakładu karnego błagalny list z prośbą o uchylenie aresztu tymczasowego. Tłumaczy: „Ten czyn, który popełniłam, nie zdawałam sobie sprawy, że jest to tak groźny artykuł...”.

Kryminolodzy zgodnie twierdzą, że na wielkość zagrożenia przestępstwami przeciwnoś mieniu ma duży wpływ zjawisko dokonywania swoistej kalkulacji „ryzyka i korzyści”. Bardzo często bowiem potencjalni przestępcy decydują się na krok sprzeczny z prawem ze względu na „opłacalność” czynu. Niekiedy kara jest niższa niż osiągnięty „zysk”. Jest też szansa, że sąd weźmie pod uwagę tzw. okoliczności łagodzące... I prawdopodobnie to były motywy kierujące poczynaniami zarówno Krystyny E. i Marcina P., jak i Bogusława Z.

Epilog tej sprawy rozegra się niebawem przed Sądem Wojewódzkim w Legnicy.

* Zmieniono imiona i inicjały nazwisk wszystkich osób.

Sąd skazał

Sąd Rejonowy w Złotoryi, Wydział II Karny, skazał 23-letniego mieszkańca Wilkowa Ryszarda Nakonecznego na karę łączną 4 lat pozbawienia wolności, 90 000 zł grzywny oraz orzeczone nadzor ochronny na okres lat 3, za to, że w okresie od 21 października 1984 r. do 16 VIII 1985 r. w Złotoryi, woj. legnickiego, działając w warunkach powrotu do przestępstwa, dokonał kilku kradzieży z włamaniem na ogólną kwotę 16 000 złotych. Jako kary dodatkowe orzeczono konfiskatę mienia oskarżonego w całości i podanie wyroku do publicznej wiadomości przez ogłoszenie jego treści w czasopiśmie „Konkret”. Wyżej wymieniony w miejscu zamieszkania legitymował się negatywną opinią z uwagi na nadużywanie napoi alkoholowych i prowadzenie pasywnego trybu życia. Wyrok jest prawomocny. 994-k

Sąd Rejonowy w Złotoryi, Wydział II Karny, skazał 28-letniego, nagdzie nie pracującego, mieszkańca Chojnowa — Andrzeja Kłosinskiego na karę 3 lat pozbawienia wolności i 60 000 zł grzywny oraz orzeczone nadzor ochronny na okres lat 4, z obowiązkiem podjęcia stałej pracy zarobkowej za to, że w nocy z 19 na 20 sierpnia 1985 r. w Chojnowie, rejonu złotoryjskiego, włamał się do budynku administracyjnego nr 3 Dolnośląskich Zakładów Wyrobow Papierowych „Dolpakart”. Skąd zabrał w celu przywłaszczenia 3 radiobłędniaki sieciowe marki „Ślask” łącznej wartości 4 500 zł na szkodę ww. zakładów, przy czym czynu tego dokonał w warunkach recydywy. Jako kary dodatkowe orzeczono wobec oskarżonego konfiskatę mienia w całości oraz podanie wyroku do publicznej wiadomości poprzez ogłoszenie w czasopiśmie „Konkret”. Wyrok jest prawomocny. 992-k

Sąd Rejonowy w Złotoryi, Wydział II Karny, skazał 19-letniego Jana Jurczyka na karę 2 lat pozbawienia wolności i 70 000 zł grzywny, 24-letniego Mieczysława Czecha na karę 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności i 70 000 zł grzywny, 20-letniego Zdzisława Kąmierzaka i 32-letniego Wiktora Korusa na kary po 2 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności i po 90 000 zł grzywny za to, że w nocy z 6 na 7 maja 1985 r. w Niedźwiedzicach, rejonu złotoryjskiego, działając wspólnie i w porozumieniu włamali się do pawilonu ogólnospożywczego, skąd zabrali w celu przywłaszczenia wyroby czekoladowe, autostopowy, kosmetyki, żyłeczki, bilety autobusowe i inne przedmioty łącznej wartości nie mniejszej niż 45 374 zł na szkodę GS „Samopomoc Chłopska” w Chojnowie oraz radio tranzystorowe wartości 4000 zł na szkodę Z.C. Jako kary dodatkowe orzeczono wobec wszystkich oskarżonych podanie wyroku do publicznej wiadomości poprzez ogłoszenie jego treści w czasopiśmie „Konkret”. Wyrok jest prawomocny. 1192-k

Ogłoszenia drobne

ZGUBY

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B.T wydane przez Naczelnika Gminy w Złotoryi na nazwisko Czesław Koczan, zam. Brennik 6. 21494-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. A,B,T wydane przez Wydział Komunikacji Działalowej na nazwisko Józef Szczepaniak, zam. Chocianów, Armii Krajowej 9/6. 21495-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B wydane przez Wydział Komunikacji w Chełmnie na nazwisko Tadeusz Drożdża, zam. Jurków 62. 21498-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. A,B wydane przez Wydział Komunikacji w Bolesławcu na nazwisko Regina Drożdża, zam. Jurków 62. 21499-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B wydane przez Wydział Komunikacji Legnica na nazwisko Bernard Kaminski, zam. Legnica, Rynek 2/7. 21500-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. C wydane przez Wydział Komunikacji Legnica na nazwisko Ryszard Nowosad, zam. Legnica, Lenina 11. 21502-g

ZGUBIONO przepustkę zakładową 2933 wydaną przez KGHM „Legmet” na nazwisko Beata Gajowa, Legnica, Gwiedźna 7/4. 21503-g

ZGUBIONO przepustkę zakładową 432/82 wydaną przez Zakłady Przem. Dzierżawskiego „Hanka” na nazwisko Anna Pyrdziak, Legnica, Nowotki 20/6. 21505-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. A,B,T wydane przez Wydział Komunikacji Jawor na nazwisko Bronisław Piaskowski, zam. Niedźwiedzów 18. 21506-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. A,B,T wydane przez Wydział Komunikacji Legnica na nazwisko Czesław Marc, zam. Czerszków 8. 21507-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. T wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Ludwik Mielicki, zam. Stary Lom 34. 21510-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B wydane przez Wydział Komunikacji w Jaworze na nazwisko Mirosław Sielicki, zam. Biernaki 19. 21511-g

LOKALE

LUBIN — domek sprzedam — zamienię na mieszkanie własnościowe. Każde miasto, 44-13-21 wieczorem. 21509-g

SPRZEDAM mieszkanie M-5 w Legnicy, Legnica, tel. 291-92 lub Złotoryja 83-412. 21514-g

SPRZEDAM NIERUCHOMOŚCI — 21505-g
Bliźniak w stanie surowym zamkniętym. Władomostwo Biuro Pośrednictwa Legnica, Bielanska 17/2, poniedziałek-piątek, 11-18, Dymyt. 21497-g

SPRZEDAM domek jednorodzinny — wolnostojący. Władomostwo: Legnica, Akacja 90. 21515-g

ZAMIEŃ domki jednorodzinne własnościowe z działką Lisowiec 40 koło Prochowca na mieszkanie w nowym budownictwie w Legnicy lub Lubinie. Władomostwo: Lisowiec 40. 21507-g

MOTORYZACYJNE

SPRZEDAM tani samochód Syrenę 105 na części. Władomostwo: Szczedrzykowiec 36/6. 21496-g

ROZNE

PRZYJME eukiermika na dobrych warunkach prawnych, Złotoryja, Podwale 3C/11. 21504-g

Złotoryjskie Zakłady Obuwia

w Złotoryi, ul. Stroma 2

ogłaszają przetarg nieograniczony

na wykonanie następujących robót:

1. Remont elewacji budynków zakładowych.
2. Zabudowa wnętrza w budynku administracyjnym.
3. Remont instalacji elektrycznej w kotłowni.
4. Wykonanie izolacji termicznej urządzeń i instalacji energetycznych.
5. Remont instalacji odgromowej.
6. Remont klatki schodowej i pomieszczeń biurowych w budynku warsztatowym.

Do przetargu zapraszamy przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze oraz prywatnych wykonawców.

Inwestor nie zapewnia niezbędnych materiałów.

Komisyjne otwarcie ofert oraz przetarg odbędzie się w 5 dniu roboczym od ukazania się ogłoszenia w prasie.

Przetarg odbędzie się w dziale głównego mechanika o godz. 11.

Termin składania ofert upływa w dniu poprzedzającym przetarg.

Bliższych informacji udziela dział głównego mechanika, tel. 969.

Inwestor zastrzega sobie prawo swobodnego wyboru oferty oraz unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

1385-k

„SPOŁEM” CENTRALNY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW

Oddział Wojewódzki w Legnicy, ul. Ściegiennego 1

ZATRUDNI NATYCHMIAST

ZASTĘPCĘ DYREKTORA DS. TECHNICZNYCH

w Zakładzie Remontowo-Budowlanym „Społem”
w Legnicy przy ul. Jaworzyńskiej 116.

Wymagane wykształcenie wyższe budowlane lub techniczne.

Informacji na temat warunków zatrudnienia udziela sekcja spraw pracowniczych, Oddziału Wojewódzkiego, tel. 239-50 lub dyrektor ZRB, tel. 225-55.

1390-k

WIELOBRANŻOWA SPÓŁDZIELNIA RZEMIEŚLNICZA

w Lubinie, ul. Kilińskiego 25A

PRZYJMUJE ZLECENIA NA ROK 1987

w zakresie robót:

- REMONTOWO-BUDOWLANE
- ŚLUSARSKO-SPAWALNICZYCH
- INSTALATORSTWA: sanitarnego, ogrzewania, gazowego, elektrycznego i odgromowego,
- INSTALATORSTWA i konserwacji anten zbiornych RTV i urządzeń nagłaśniających,
- URZĄDZENIA i utrzymania zieleni.

W ZAKRESIE SPRZEDAŻY WYROBÓW:

- BETONIARSKICH
- SZCZOTKARSKICH
- OPAKOWAŃ FOLIOWYCH.

Roboty wykonujemy z materiałów własnych i powierzonych.
Oferty należy składać pisemnie.

1388-k

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ENERGETYKI CIEPLNEJ

w Legnicy

zatrudni natychmiast

na korzystnych warunkach w Legnicy, Lubinie, Głogowie, Złotoryi, Jaworze, Chojnowie i Polkowicach:

- INŻYNIERÓW ENERGETYKÓW,
- INŻYNIERÓW SANITARNYCH,
- INŻYNIERÓW MECHANIKÓW,

oraz

- ELEKTRYKÓW (uprawnienia bez ograniczenia napięcia),
- AUTOMATYKÓW,
- MECHANIKÓW,
- MECHANIKÓW SAMOCHODOWYCH,
- SPAWACZY
- ENERGETYKÓW (CIEPŁOWNIKÓW),
- PALACZY

Bliższych informacji udziela dział kadr i szkolenia, ul. Poznańska 48 w Legnicy, tel. 218-71, wewn. 212 lub 213.

1389-k

Dyrekcja Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego

w Legnicy, ulica Hibnera 2, 59-220 Legnica

Z A T R U D N I:

1. kierowców posiadających prawo jazdy kategorii D,
2. kierowców posiadających prawo jazdy kategorii B lub C w celu przeszkolenia na prawo jazdy kategorii D z oderwaniem od pracy,
3. mechaników i elektryków samochodowych.

Kandydaci na kurs kierowców powinni odpowiadać następującym wymaganiom:

- ukończone 21 lat życia,
- dobry stan zdrowia,
- uregulowany stosunek do służby wojskowej,
- prawo jazdy kategorii C, rok praktyki zawodowej w kierowaniu samochodami ciężarowymi powyżej 3,5 tony,
- prawo jazdy kategorii B — 5-letnia praktykę w kierowaniu pojazdami samochodowymi,
- mechanicy samochodowi mogą uzyskać dyplomy mistrzów czeladników na kursach organizowanych przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne.

Praca na terenie Legnicy, Lubina i Głogowa.
Atrakcyjne płace, umundurowanie służbowe. Bilety wolnej jazdy na autobusy komunikacji miejskiej dla pracowników i członków rodziny.
Możliwość korzystania z wczasów i kolonii. Dla samotnych możliwość korzystania z kwater prywatnych.
Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu w Dziale Służb Pracowniczych (telefon 200-51 wewn. 223, 224).

1357-k

Przedsiębiorstwo Produkcji Różnej, Handlu i Usług Sp. z o.o.

„A R D E N”

Wrocław, al. Jaworowa 37, tel. 67-53-30

Oddział Legnica, ul. Jaworzyńska 263

Z A W I A D A M I A

P.T. Klientów o wprowadzeniu sprzedaży ratalnej — konfekcji odzieżowej, bielizny, galanterii ogólnej, artykułów pościelowych w sklepie nr 4 PPRHiU „Arden” w Legnicy przy ul. Żwirki i Wigury 54.
Wszystkie formalności związane z zakupem ratalnym można załatwić w sklepie przy ul. Żwirki i Wigury 54 codziennie w godz. 10—18.

ZAPRASZAMY

21491-g

„Arden”

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

w Legnicy

Z A T R U D N I:

- ZASTĘPCĘ DYREKTORA ds. administracyjnych (wykształcenie wyższe, z odpowiednim stażem pracy, w tym na stanowisku kierowniczym),
- BIBLIOTEKARZY (wykształcenie wyższe),
- PALACZY C.O. (na 1/2 etatu z uprawnieniami).

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia w WIMBP w Legnicy, ul. Piastowska 22, tel. 279-08.

1386-k

Zakład Energetyczny „LEGNICA”

ZWRACA UWAGĘ P.T. ODBIORCOM

energii elektrycznej i gazu na obowiązek dokonywania wpłat z tytułu zużycia energii elektrycznej i gazu na dostarczonych blankietach dodatkowych.

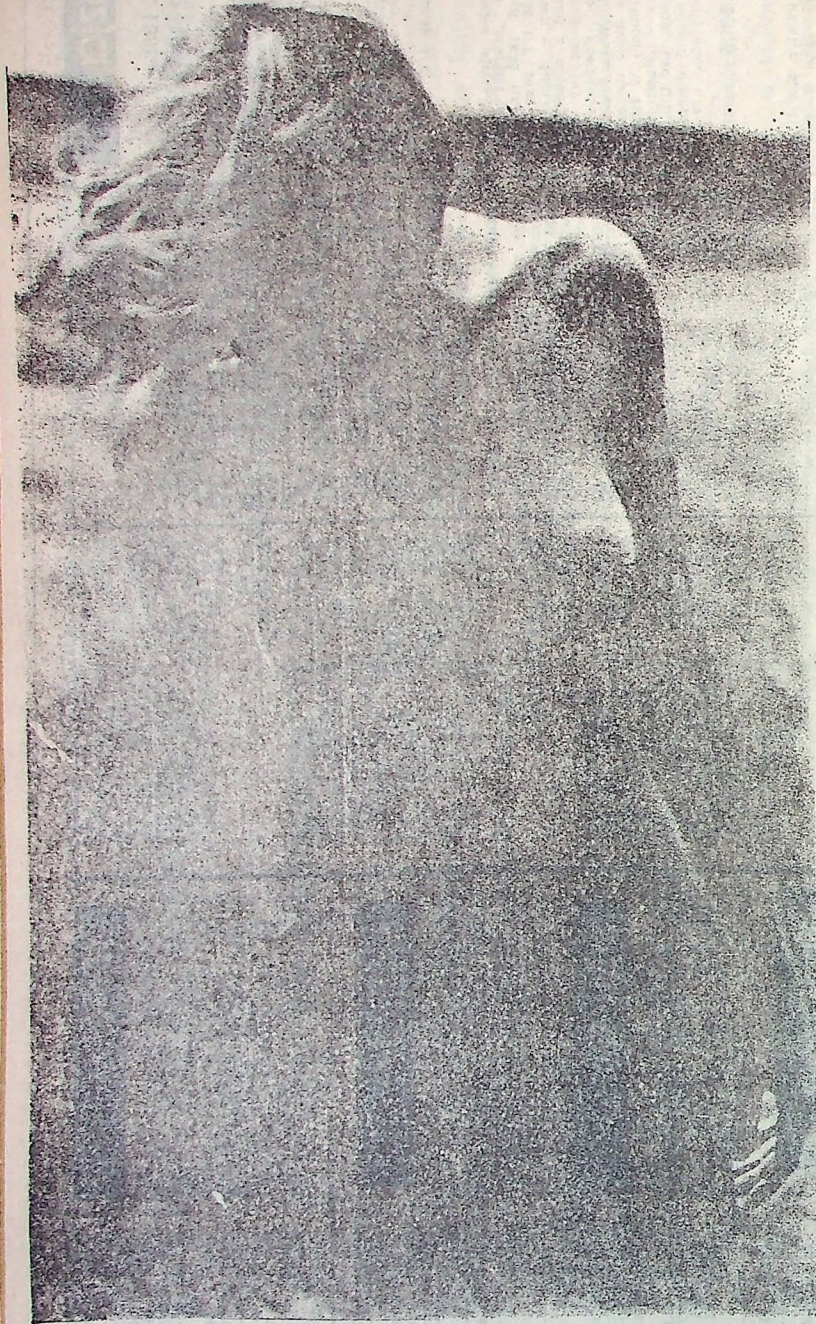
Wyżej wymienione blankiety są wydrukowane i dostarczone odbiorcom, których roczne rozliczenie przypada w miesiącach od listopada 1986 do lutego 1987 r., a dla których przewidywany wzrost kosztów zużycia, wynikający ze wzrostu cen, przekracza 500 zł.

Jednocześnie przypominamy P.T. Odbiorcom, że nieuregulowanie płatności blankietów dodatkowych w ustalonych terminach i kwotach może pociągnąć za sobą skutki przewidziane w przepisach o nieuregulowaniu opłat z książeczek tj.:

- opłaty karne,
- wyłączenie dopływu energii elektrycznej bez specjalnego uprzedzenia.

1387-k

Dziewczyny podglądane



Z cyklu: Myśli luźne

Tabu, mimo że nietykane, rozmnaża się zastrasza. (Stanisław Jerzy Lec)

(Stanisław Jerzy Lec)

Nie tylko „Trójkąt Bermudzki”

Okazuje się, że miejscami niebezpiecznych jak „Trójkąt Bermudzki” jest na Ziemi więcej. Przy półwyspie Boso w Japonii przyladek Nojima-Zaki stanowi wielkie niebezpieczeństwo. W jego okolicach jest prawdziwe cmentarzysko statków. Okazuje się, że statki wypływające zimą z Północy w stronę USA natykały się na przyladek, który tworzą fale, które uszkadzają dolną część kadłuba. Fale te tworzą się pod wpływem ostrych, zimnych wiatrów i prądów morskich. Ale tu przynajmniej poznano przyczynę katastrof, a „Trójkąt Bermudzki” wciąż jest tajemnicą.

Jrodziny dyktatora

Dyktator mody Yves Saint-Laurent obchodził swoje 50 urodziny. Ale jak obchodził? Uroczystości 50-lecia odbywały się w jego prywatnej willi w Marakeszu, a więc na urodzinowym szampańskim wszyscy goście polecieli samolotem.

Drogi obrączki

Ślub młodego syna angielskiej królowej Elżbiety II księcia Andrzeja odbił się szerokim echem w całym świecie. Oglądały go nie tylko tysiące londyńczyków i turystów, ale też miliony widzów na całym świecie. Para młoda założyła sobie na palce obrączki wykonane z angielskiego złota. Właśnie. W Szkocji utrzymuje się stara kopalnia złota, która ze względu na wyeksploatowanie głównej żyły jest nierentowna, ale utrzymuje się ją i złoto z niej wydobywane jest dużo droższe od pozostałego. Ale co angielskie to najlepsze. Tak przynajmniej sądzą Anglicy i kupują drogie złoto.

Podsluchane

Kaszanka zakochała się w salcesonie:

— Nie chce mnie — wdycha. — Intelktualista!

Soja contra rak

Badania uczonych amerykańskich wykazały, że ilość zachorowań na raka układu pokarmowego jest dużo rzadsza w krajach Dalekiego Wschodu: Korei, Chinach, Japonii niż na przykład w Europie i Stanach Zjednoczonych.

Badając menu uczeni doszli do wniosku, że soja spożywana na Dalekim Wschodzie różni diety. Odkryli oni w soi substancję, która hamuje rozwój komórek rakowych. Może nie wystarczy to chorym, ale może zapobiec następnym zachorowaniom. A więc przyprawiajmy sałatki sosem sojowym.

Choroby na talerzu

Jak twierdzi dyrektor Instytutu Żywności i Dietetyki w Rzymie dr Pasquale Montenero, nasze choroby leżą na naszym talerzu. Uważa on, po przeprowadzeniu badań, że podczas wojny prawie nie występowały choroby przemiany materii, ponieważ ludzie głodowali. Dziś cukrzyca staje się

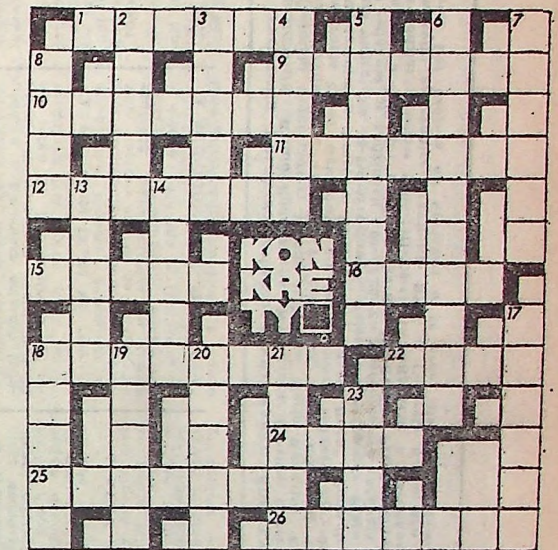
prawie chorobą społeczną, a wynika ona najczęściej ze zbyt dużego pożywienia. Dr Montenero uważa, że wiele osób nie miało by żyłaków, jedząc codziennie chleb, a unikając kawy i nadmiaru mięsa. Natomiast płatki owsiane według niego są znakomitym środkiem przeciwdziałającym męskiej potencji. Tak więc nasze zdrowie w dużym stopniu zależy od tego, co jemy. Może coś jest w tych radach Montenero?



Piękna i... mądra

Okrzyknięta najpiękniejszą dziewczyną Stanów Zjednoczonych Brooke Shields powiedziała, że piękna być łatwo, ale mądra trzeba — i wstąpiła na ekskluzywny Uniwersytet Princeton. Brooke kończy już 21 lat i nauka idzie jej świetnie. Fotoreporter zaskoczył ją na egzaminie, nie wiedząc, aby była speszona.

Krzyżówka



POZIOMO: 1) bladeusz, 9) tętnica, 10) duchowny, ale w wojsku, 11) przed 5 laty w Karlinsku, 12) najwyższy stopień uniesienia, 13) sportowy periodyk, 14) płaskie naczynie, 15) opiekunka, 22) mniej niż dolar, 24) formuła przysięgi, 25) szmira, 26) w pracy codziennie.

PIONOWO: 2) szyl, 3) lody z kremem i owocami, 4) mapa konturowa, 5) gra w tło, 6) najlepszy kolega, 7) piętro widowni teatralnej, 8) rozkwit, dojrzałość, 13) do pisania po tablicy, 14) tropikalne zwierzę o krótkiej trąbie, 17) mała rzeczka, 18) rodzaj wina, 19) cygański zespół, 20) potrawa z jaj, 21) święta księżka muzułmanów, 23) kierownica na statku.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 36

POZIOMO: schedo, proszek, Klecina, Skalski, kręta, agent, ibis, redakcja, smyk, lont, smyczek, adapter.

PIONOWO: ciele, elita, apasz, poradnia, czasopismo, ukwiał, skok, regle, Tania, skuter, rzęsa, dotyk, kasza, Jolka, unia.

NAGRODY KSIĄŻKOWE WYLOSOWALI: WIOLETTA KOWALSKA, ul. Armii Radzieckiej 9/2 67-200 Strzegom, KRYSZYNA WIECZOREK, skr. poczt. 67 58-530 Kowary, LIDIA GROCHOWSKA, ul. Wasiłewskiej 36a/3, 59-700 Bolesławiec.

Na rozwiązanie krzyżówki z numeru 38 czekamy do 28 września br.